wolnelektury.pl

Stefan Grabiński

Szalony pątnik

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

STEFAN GRABIŃSKI

Szalony pątnik

Szary pokój

Kazi
Drogiej żonie mojej
poświęcam

Moje ostatnie mieszkanie też mnie nie zadowoliło. Zrazu zdawało się, że to, przed czym uciekłem z dawnego, tutaj wykluczone bezwarunkowo, że bezpiecznym będę przed czymś nieznanym, które zmusiło do opuszczenia przedostatniej siedziby. Lecz kilka dni spędzonych w tym świeżo wynajętym pokoju przekonało, że nowe schronisko jeszcze gorsze od poprzedniego, gdyż pewne niepokojące cechy, jakie zraziły mnie do tamtego, tu zaczęły występować w ostrzejszej, silniej podkreślonej formie. Po tygodniowym pobycie w nowym lokalu doszedłem do przykrego wniosku, że wpadłem w matnię stokroć zawilszą od dawnej, że niemiły nastrój, jaki wypłoszył mnie z byłego mieszkania, powtarza się znów, i to w spotęgowanej znacznie mierze.

Uświadomiwszy sobie ten niezbyt ponętny na przyszłość stan rzeczy, począłem w pierwszej chwili dopatrywać się przyczyny w samym sobie. Może pomieszkanie[1] nie ma z tym nic wspólnego? Może to ja sam przywlokłem z sobą przykry ton, z którego immanentności[2] nie zdając sobie jasno sprawy, usiłuję zrzucić go na otoczenie i przypatrując mu się jako czemuś poza mną, w ten nieszczery sposób staram się zamaskować własną słabość?

Lecz temu przypuszczeniu stanęło na przeszkodzie pełne poczucie wewnętrznej pogody ducha, jaką tchnęło w tym czasie całe me jestestwo, i wyjątkowo pomyślny stan zdrowia. Niebawem wpadłem na inną hipotezę, która wnet zmieniła się w pewność stwierdzaną codziennym doświadczeniem.

Oto wiedziony trafnym przeczuciem, zasiągnąłem[3] informacji co do ostatniego lokatora, który bezpośrednio przede mną zajmował pokój. Jakież było me zdumienie, gdy wymieniono nazwisko Łańcuty. Był to ten sam człowiek, po którym wynająłem i poprzednie mieszkanie. Jakiś dziwny zbieg okoliczności kazał mi być dwukrotnie jego następcą. Poza tym nic mnie z nim bliższego nie łączyło, nie wiedziałem nawet, kim jest i jak wygląda.

W ogóle nie można było dowiedzieć się o nim niczego pozytywniejszego[4] nad to, że się nazywał Kazimierz Łańcuta i mieszkał tu parę miesięcy. Na zapytanie, jak dawno temu i dokąd się wyprowadził, odźwierny bąknął mi jakąś nieokreśloną odpowiedź, widocznie nie mając najmniejszej ochoty zapuszczać się w dokładniejsze objaśnienia. A jednak po wyrazie jego twarzy domyśliłem się, że mógłby mi niejedno powiedzieć o mym poprzedniku, lecz woli milczeć z własnej inicjatywy czy nakazu właściciela domu; może miał specjalne do tego powody, może z zasady nie lubiał[5] udzielać dalej idących informacji.

[1] *pomieszkanie* (daw.) — miejsce zamieszkiwania przez jakiś czas, mieszkanie. [przypis edytorski]
[2] *immanentność* (filoz.) — wewnętrzna cecha tkwiąca w czymś, niezależna od innych przedmiotów, niewynikająca z działania czynnika zewnętrznego. [przypis edytorski]
[3] *zasiągnąłem* — dziś: zasięgnąłem. [przypis edytorski]
[4] *pozytywny* (z łac. *positivus*: oparty na faktach, uzasadniony) — tu: pewny, konkretny. [przypis edytorski]
[5] *lubiał* — dziś popr.: lubił. [przypis edytorski]

Dopiero znacznie później zrozumiałem jego ostrożną taktykę; istotnie z punktu widzenia interesów gospodarza była jedyną: nie należało gości odstraszać. Lecz sprawa wyjaśniła mi się dopiero po szeregu własnych przeżyć, które rzuciły światło na osobę byłego lokatora i jego właściwe, zatajone przede mną umyślnie losy.

W każdym razie podobieństwo nastrojowe obu mieszkań tak dziwnie schodzące się z tożsamością przedostatniego lokatora dawało dużo do myślenia.

Z biegiem czasu nabrałem przekonania, iż dusza, że się tak wyrażę, obu pokoi nasiąkła jaźnią Łańcuty.

Że coś podobnego jest możliwym, wcale nie wątpię. Owszem, sądzę, że wyrażenie takie jak: „zostawić gdzieś cząstkę swej duszy", nie tylko przenośnie brać należy. Nasze codzienne współżycie z danym miejscem, dłuższe przebywanie w pewnym środowisku, choćby ono należało tylko do świata organicznego bez współbytności ludzi, co więcej, ograniczało się do sfery tak zwanych przedmiotów martwych — musi po jakimś czasie wywołać wzajemny wpływ i obopólne oddziaływanie. Powoli wytwarza się rodzaj nieuchwytnej symbiozy, której ślady niejednokrotnie utrwalają się na dłuższą metę i po zerwaniu bezpośredniej styczności. Jakaś energia psychiczna pozostaje po nas i czepia się miejsc i rzeczy, do których przywykła. Owe remanenty[6], subtelne pozostałości związków ubiegłych, pokutują potem latami, kto wie, może wieki całe, niewidoczne dla niewrażliwych, lecz niemniej istotne, by czasem odezwać się wyraźniejszym gestem.

Stąd dziwny lęk i szacunek zarazem wobec starych zamków, zapadłych domów, czcigodnych zabytków przeszłości. Nic nie ginie i nic nie idzie na marne; po pustych ścianach, wyludnionych krużgankach tułają się uporczywie echa lat minionych...

W moim jednak wypadku zastanawiał jeden ważny szczegół, który musiałem uwzględnić od samego początku. Jak utrzymywał dozorca, mieszkał Łańcuta w tym domu parę miesięcy, po czym gdzieś wyprowadził się. Czas zatem, przez jaki mógł wpływać na wnętrze i przepajać je sobą, był stosunkowo znacznie krótszy od tego, który spędził przede mną w poprzednim mieszkaniu. Mimo to ślad jego zaznaczył się tutaj silniej niż w dawniejszym lokalu, gdzie miał możność działania na otoczenie przez dwa lata z górą. Widocznie siła rozpromieniania jaźni w tym okresie u niego wzmogła się i w nierównie krótszym przeciągu czasu doszła do rezultatów znacznie wydatniejszych.

Smutek, Choroba, Pamięć, Cień

Chodziło tylko o to, czemu należało przypisać ten nieproporcjonalny do dawniejszego stanu wzrost zdolności udzielania się na zewnątrz.

Wnosząc z rodzaju nastroju, którym tchnął mój obecny pokój, powód tego zjawiska nie leżał bynajmniej w spotęgowaniu energii życiowej jego byłego mieszkańca. Przeciwnie. Na podstawie rozmaitych objawów doszedłem do wniosku, że przyczyną był tu raczej jakiś rozkład wewnętrzny, jakiś rozstrój duchowy, i to dość silny, który zakaził sobą otaczającą atmosferę. Łańcuta był wtedy najprawdopodobniej człowiekiem chorym.

O tym świadczył zasadniczy ton, jakim oddychało moje mieszkanie. Była nim cicha, beznadziejna w swym smutku melancholia. Wiała od popielatych obić ścian, stalowej barwy aksamitnych foteli, szła od srebrnych ram obrazów. Czuło się ją w powietrzu rozpyloną w tysiączne, nieuchwytne atomy, ocierało niemal o wiotkie, delikatne przędze, jakie rozsnuła po wnętrzu. Smutny, szary pokój...

Nawet kwiaty w doniczkach przy oknie i parę większych w wazonach koło etażerki[7] jakby przystosowały się do panującego tu stylu: pochylone anormalnie na jedną stronę łodygi i kielichy zginały się smutno w bezwładnej zadumie.

Głos nawet, chociaż pokój był duży i słabo zastawiony sprzętami, cichnął gdzieś wylękły po wnękach, jak intruz strwożony własną śmiałością. Kroki moje głuchły bez echa w posadzce; przechodziłem jak cień.

Mimo woli chciało się usiąść gdzieś w kącie w wygodnym, pluszowym fotelu i zapaliwszy papierosa, godziny całe trawić w zamyśleniu, gonić bezcelowym spojrzeniem za obłoczkami dymu, śledząc, jak skręcają się w spirale, rozpierścieniają w obręcze, płożą

[6] *remanent* (z łac. *remanes*, *remanetis*: pozostający) — tu: pozostałość. [przypis edytorski]
[7] *etażerka* — lekka szafka składająca się z kilku otwartych półek. [przypis edytorski]

w taśmach po stropie... Coś ciągnęło do palisandrowego[8] pianina, by wygrywać melodie łagodne, o tonach ściszonych, smutne jak łkania jesieni...

Na tym szarym, chorobliwie nastrajającym tle zaczął po pierwszym tygodniu mego pobytu rozsnuwać się jakiś dziwaczny senny haft. Odtąd śniłem co nocy bez przerwy.

Treść snów była mniej więcej zawsze ta sama; marzenia zdawały się być tematem ustalonym, który ulegał tylko nieznacznym modyfikacjom lub drobnym przeróbkom; były to rozmaite redakcje tej samej historii.

Sen, Duch, Smutek, Samotność, Noc, Pamięć

Tłem, na którym rozgrywała się owa, zresztą monotonna, akcja, było moje pomieszkanie. W jakiejś porze nocy wyłaniał się na ekranie snu mój szary pokój z drzemiącymi po kątach sprzętami, z melancholijną nudą zamyślonych zwierciadeł i tak trwał przez długie godziny nocnego spoczynku. Pod oknem wsparty na łokciu siadywał jakiś mężczyzna o pociągłej, bladej twarzy i patrzył smutno przez szybę na ulicę. Przeciągało się to czasami na całe godziny. Potem wstawał, przemierzał parę razy pokój powolnymi, automatycznymi krokami ze wzrokiem utkwionym uparcie w posadzkę, jakby zajęty wyłączną jakąś myślą. Czasem przystawał i pocierał ręką czoło, podnosząc w górę oczy jasne, duże, cichą melancholią zaciągnięte. Gdy go przechadzka znużyła, siadał z powrotem, lecz teraz zwyczajnie już przy biurku pod lewą ścianą i znów długie chwile spędzał w pozycji nieruchomej z twarzą ukrytą w dłoniach. Niekiedy pisał coś drobnym, nerwowym charakterem. Skończywszy, odrzucał gwałtownie pióro, prostował wątłą postać i znów rozpoczynał spacer. Chcąc widocznie zyskać na przestrzeni, wędrował po pokoju w linii kolistej, czemu nie przeszkadzało rozmieszczenie sprzętów. Spostrzegłem jednak, że linia ta załamuje się nierówno w okolicy prawego węgła[9] od drzwi, gdzie stała szafa; tutaj krzywizna, którą opisywał, z wypukłej przechodziła we wklęsłą: wyglądało tak, jakby tego kąta unikał.

Na tym wyczerpywał się temat snu. Po kilku godzinach takiej monotonnej wędrówki, przerywanej dłuższym lub krótszym wypoczynkiem przy oknie, stoliku lub w którymś z foteli — smutny człowiek, a wraz z nim i obraz pokoju rozwiewał się i upadał w senną otchłań, a ja budziłem się zazwyczaj już nad ranem. Tak powtarzało się co nocy bez zmiany.

Ta uporczywość powracających wciąż obrazów i styl ich tak znamienny doprowadziły mnie niebawem do niezachwianego wniosku, że aktorem rozgrywającej się co noc pantomimy[10] nie jest nikt inny tylko Łańcuta. Sny te pełne melancholijnej monotonii były niejako plastycznym uświadomieniem duszy mieszkania, którą odczuwałem tak przygnębiająco za dnia, praktyczną materializacją rzeczy za subtelnych dla stanu jawy.

Przypuszczam, że to samo działo się bez przerwy i przez dzień, lecz wyraźnemu percypowaniu[11] sprzeciwiały się zwodnicze zmysły i przemądry w swej zarozumiałości intelekt.

Wszak gwiazdy istnieją i w dzień, lubo[12] przyćmione zgiełkiem przemożnych promieni słońca — widać je dopiero po zachodzie. Przypomina się mimo woli tak zwane pismo sympatyczne sporządzone przy pomocy atramentu, który po wyschnięciu czasowo sczeza[13], pozostawiając papier pozornie niezapisany; by móc list odczytać, trzeba go nagrzać przy ogniu — wtedy niewidzialne dotąd litery wynurzają się wywabione ciepłem.

W początkach zajmowało mnie obserwowanie snów i wyszukiwanie odpowiednich związków, jakie bezsprzecznie zachodziły między nimi a nastrojem dziennym pokoju. Lecz powoli spostrzegłem, że nieznacznie, lecz stale ulegam szkodliwym wpływom mego otoczenia, że widziadła senne i wnętrze, w którym przebywam za dnia, oddziaływują[14] na mnie ujemnie, zatruwając mą jaźń ukrytym jadem.

Postanowiłem bronić się. Należało wydać walkę niewidzialnemu poprzednikowi, zetrzeć się z nim i wyrugować wspomnienia po nim, którymi tu wszystko przesiąkło.

---

[8] *palisandrowy* — wykonany z palisandru: drewna tropikalnego drzewa z rodzaju *Dalbergia*, o barwie brązowej lub ciemnofioletowej, używanego głównie do wyrobu instrumentów muzycznych i mebli artystycznych. [przypis edytorski]

[9] *węgieł* — miejsce zetknięcia dwóch pionowych ścian, róg. [przypis edytorski]

[10] *pantomima* — nieme przedstawienie, w którym treść przekazywana jest za pomocą gestów, ruchów i mimiki. [przypis edytorski]

[11] *percypować* — odbierać jakieś zjawiska zmysłami, postrzegać. [przypis edytorski]

[12] *lubo* (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

[13] *sczeza* (daw.) — cześnie, niknie, ginie. [przypis edytorski]

[14] *oddziaływują* — dziś popr.: oddziałują. [przypis edytorski]

Przede wszystkim trzeba było usunąć i zastąpić innymi sprzęty znajdujące się w pokoju. One bowiem, jak trafnie przypuszczałem, stanowiły jeden z punktów atrakcyjnych dla groźnych pozostałości obcej psychiki. Spodziewałem się, że po wydzieleniu ich poza nawias mieszkania, tym samym wyschnie parę zasadniczych źródeł przynęty, zerwie się kilka ważnych węzłów sympatii[15], utrzymujących niebezpieczny dla mnie związek.

Rzecz przeprowadziłem systematycznie, niemal doświadczalnie, metodą drobnych, ledwo dostrzegalnych różnic.

Kazałem tedy[16] najpierw wynieść z pokoju duży pluszowy fotel stojący przy oknie i zastąpić go zwykłym krzesłem. Już ta drobna modyfikacja mebli odbiła się wyraźną zmianą w przebiegu snu, który uległ jak gdyby pewnemu uproszczeniu; zabrakło mianowicie jednego z jego momentów: obrazu Łańcuty w pozycji siedzącej pod oknem; przez całą noc melancholik ani razu nie zajął świeżo sprowadzonego krzesła.

Nazajutrz usunąłem biurko, a na jego miejsce ustawiłem mały zgrabny stolik na karty, nie omieszkując przy tym zmienić też przyborów do pisania na inne. Najbliższej nocy usiadł wprawdzie Łańcuta przy gerydonie[17] na dawnym, nieruszanym jeszcze krześle, lecz nie opierał się już na jego pulpicie, przez cały czas nie ruszył piórem i w ogóle zdawał się wystrzegać wszelkiego z nowym meblem kontaktu.

Gdy z kolei i to krzesło wymieniłem na elegancki, ostatnimi dniami nabyty taburet[18], nie zbliżył się już nawet do stolika. Ta partia pokoju stała się dlań niejako terenem obcym, a stąd wrogim, którego widocznie unikał.

Tak stopniowo wyrzucałem sprzęt po sprzęcie, wprowadzając meble zupełnie nowe, w rażącej sprzeczności z dawnymi, o barwach obić żywych, pełnych umyślnej jaskrawości i krzyku. Po dwóch tygodniach pozostały z dawniejszych mebli tylko wspomniana już szafa i obok niej wiszące lustro przy drzwiach; tych dwóch sprzętów nie miałem zamiaru zmieniać z tej oczywistej przyczyny, że według mych przypuszczeń byłoby to całkiem zbytecznym[19]: Łańcuty widocznie nic nie łączyło z tym kątem pokoju i unikał go ostentacyjnie. Po cóż więc narażać się na niepotrzebny trud?

A jednak domysł mój tym razem był mylny; powód niechęci, jaką okazywał Łańcuta ku tej partii, był całkiem inny; była nim nie obojętność, lecz wstrętne wspomnienie. Lecz nie wiedząc o tym, nie zarządziłem tam żadnych transmutacji[20].

Przeprowadzone zmiany wywarły zbawienny wpływ na moje codzienne otoczenie: pokój jakoś poweselał, nadwątlił się przygnębiający nastrój wnętrza, ustępując miejsca pogodniejszej atmosferze. Równocześnie i sny moje przeszły w nowe stadium. W miarę jak postępowała coraz dalej metamorfoza mieszkania, Łańcucie jakby grunt usuwał się pod nogami. Odciąłem go najpierw od okna, później odsunąłem od tej części pokoju, gdzie stało niegdyś biurko, z kolei ograniczyłem do kilku ledwo foteli. Wreszcie po usunięciu tych pozostała mu wąska przestrzeń między nowymi meblami. Lecz znać[21] zmieniona atmosfera poczęła też wpływać nań deprymująco[22], bo zauważyłem w jego dotąd wyraźnie rysującej mi się postaci pewną rozwiewność konturów: człowiek ten z nocą każdą jakby subtelniał i ulatniał się; widziałem go już jak przez mgłę. W końcu przestał chodzić pomiędzy krzesłami, lecz przesuwał się jak cień po ścianach. Czasami całość postaci rwała się i dostrzegałem tylko fragmenty rąk, nóg lub zarysy twarzy. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości — Łańcuta pobity na głowę ustępował. Uradowany niechybnym już zwycięstwem zacierałem ręce z zadowoleniem, zabierając się do zadania mu ostatecznego ciosu; kazałem zedrzeć stalowoszare tapety i obić pokój czerwonym papierem.

Skutek nie zawiódł: cień upartego przeciwnika przestał wałęsać się po ścianach.

---

[15]*sympatia* (łac. *sympathia*, z gr. *sympatheia*, *syn*: wspólne, razem, *pathos*: uczucia, emocje, doświadczenia) — tu: współodczuwanie. [przypis edytorski]

[16]*tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

[17]*gerydon* (fr. *guéridon*) — niewielki, lekki stolik o jednej nodze. [przypis edytorski]

[18]*taburet* — dziś: taboret, stołek. [przypis edytorski]

[19]*byłoby to całkiem zbytecznym* — dziś: byłoby to całkiem zbyteczne. [przypis edytorski]

[20]*transmutacja* (łac. *transmutatio*: zamiana) (daw.) — przemiana, przeobrażenie, przekształcenie. [przypis edytorski]

[21]*znać* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

[22]*deprymujący* — przygnębiający, zniechęcający; wprawiający w zakłopotanie, odbierający pewność siebie. [przypis edytorski]

Lecz czułem jeszcze jego obecność w powietrzu; była nieuchwytna, niezmiernie rozrzedzona, lecz mimo wszystko była. Musiałem zmierzić[23] mu atmosferę do reszty.

Zabawa

W tym celu przez dwie noce z rzędu urządziłem w swym domu wesołą, bachiczną[24] zabawę. Sam podniecałem wyuzdanie pijanych gości, dorzucałem ognia do tryskającego zdrowiem i młodą, bujną żądzą żaru. Szaleliśmy. Po tych dwu piekielnych, bezsennie odbytych hulatykach[25], które mi narobiły wiele nieprzyjemności ze strony współlokatorów, w końcu trzeciej dopiero nocy rzuciłem się w ubraniu, śmiertelnie wyczerpany na łóżko i natychmiast usnąłem.

Zrazu zmęczenie przemogło onejroplastię[26] i spałem bez widzeń. Lecz po kilku godzinach wypoczynku wynurzył się z mgławicy sennej jak zwykle mój pokój. Patrzyłem nań spokojnie, przez sen uśmiechając się tryumfująco[27]: w pokoju nie było nikogo, absolutnie nikogo.

Chcąc umocnić się w przekonaniu, wodziłem oczyma zwycięzcy po wszystkich kątach, zaczynając od okna; tak przewędrowałem trzy czwarte pokoju, przeglądnąłem bystro fotele, sięgnąłem wzrokiem pod strop, zaczepiłem uważnie o ściany — nigdzie podejrzanego śladu, nigdzie choćby najlżejszej poszlaki. Nagle rzuciwszy niedbałe spojrzenie w ciemny węgieł pode drzwiami, ową jedyną partię zawsze tak starannie omijaną — spostrzegłem go. Stał w pełnej, wyraźnej postaci, trochę zgarbiony jak zwykle, odwrócony do mnie plecyma[28].

Samobójstwo, Śmierć

Właśnie wyciągnął rękę ku szafie i przekręciwszy klucz, otworzył. Zatrzymał się tak wpatrzony w puste jej wnętrze z rzędami szczerzących drewniane zęby kołków. Powoli, ze spokojnym namysłem wydobył z kieszeni rodzaj taśmy czy skórzanego rzemyka i przywiązał do jednego z wieszadeł; spadający koniec zgiął w pętlę i zakluczył[29]. Zanim zdołałem zorientować się, już wisiał. Ciało skręcone śmiertelnym podrzutem zwinęło się o pewien kąt i odbiło w lustrze na sąsiedniej ścianie. Ujrzałem dokładnie w jego głębi twarz wisielca: była wykrzywiona szyderskim[30] uśmiechem i patrzyła wprost we mnie...

Ucieczka, Strach, Zabawa

Krzycząc, zerwałem się z posłania i wstrząsany febrycznym[31] dreszczem wyskoczyłem przez okno na ulicę. Tu, nie oglądając się poza siebie, zacząłem biec wśród nocy po pustych chodnikach, póki nie wpadłem do jakiejś austerii[32]. Otoczyło mnie wnet podejrzane towarzystwo podmiejskich rzezimieszków. Ich wesołość ocuciła mnie; potrzebni mi byli w tej chwili. Zaciągnęli mnie do drugiej, jeszcze plugawszej oberży; poszedłem; potem do trzeciej, czwartej i tak dalej — towarzyszyłem wszędzie aż do końca, aż do białego rana. Wtedy, słaniając się na nogach, zawinąłem nareszcie do jakiegoś hotelu, by tu zasnąć snem kamiennym.

Nazajutrz wynająłem wesoły, słoneczny pokoik na krańcu miasta. Do dawnego mieszkania nie wróciłem już nigdy.

Problemat[33] *Czelawy*

Onegdaj[34] po południu o zwykłej godzinie ordynacyjnej[35] przyjąłem nową pacjentkę: zaszczyciła swą wizytą mnie, początkującego neurologa, pani Wanda Czelawa, żona powszechnie znanego profesora doktora S. W. Czelawy, który od szeregu już lat, zajmując

[23] *zmierzić* (daw.) — obrzydzić. [przypis edytorski]

[24] *bachiczny* — upojny, hulaszczy; związany z kultem Bachusa, rzym. boga wina i dzikiej natury. [przypis edytorski]

[25] *hulatyka* (daw.) — głośna zabawa połączona z pijaństwem; hulanka. [przypis edytorski]

[26] *onejroplastia* (z gr. *oneiros*: marzenie senne, *plastos*: ukształtowany, ulepiony) — tu: wytwarzanie obrazów sennych. [przypis edytorski]

[27] *tryumfująco* — dziś częściej: triumfująco. [przypis edytorski]

[28] *plecyma* — dziś popr.: plecami. [przypis edytorski]

[29] *zakluczył* — tu: zawiązując koniec rzemienia, zamknął pętlę. [przypis edytorski]

[30] *szyderskim* — dziś popr.: szyderczym. [przypis edytorski]

[31] *febryczny* — taki jak w febrze, tropikalnej chorobie zakaźnej objawiającej się gorączką połączoną z silnymi dreszczami. [przypis edytorski]

[32] *austeria* — daw. karczma, gospoda. [przypis edytorski]

[33] *problemat* (daw.) — problem, zagadnienie do rozwiązania. [przypis edytorski]

[34] *onegdaj* (daw.) — przedwczoraj; także: kiedyś. [przypis edytorski]

[35] *ordynacja* (daw.) — zalecenie lekarskie, porada lekarska. [przypis edytorski]

katedrę filozofii w naszym mieście, zdobył sobie sławę wybitnego badacza z dziedziny psychopatologii[36].

Zjawienie się tej pięknej, dziwnie ujmującej słodyczą wyrazu kobiety zdziwiło mnie niezmiernie. Nie mogłem zrazu pojąć, dlaczego nie zwróciła się po radę lekarską do męża, który wprawdzie w ostatnich czasach ograniczył się niemal wyłącznie do sfery teoretycznych dociekań, mimo to jednak niewątpliwie w tym wyjątkowym wypadku zrobiłby ustępstwo. Dopiero zwierzenia jej, pozostające w ścisłym związku z domniemaną chorobą nerwów, rzuciły nowe światło na pobudki tego kroku. Objawy towarzyszące rzekomej chorobie nosiły istotnie tak specjalny charakter, że pani Wanda nie tylko nie mogła, owszem[37], nie powinna była szukać pomocy u męża.

Z właściwą kobietom subtelnością uczuć zrozumiała, że jakiekolwiek wynurzenia w tym kierunku niechybnie by go obraziły, dotykając boleśnie pewnych strun duszy. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie podczas pierwszej rozmowy; i ona bowiem, wyczytawszy w mych oczach zdumienie wywołane niespodziewaną wizytą, pośpieszyła niezwłocznie z wyjaśnieniem.

Co do mnie, sądziłem, że ewentualne rewelacje przed profesorem raczej by go zaniepokoiły co do własnej osoby; od razu wzbudziło się we mnie podejrzenie, że „chorobliwe symptomy", jakie pacjentka przypisywała sobie, należałoby poddać wprost przeciwnej orientacji i przenieść je na męża. Mimo głębokiego przekonania „chorej" powziąłem krańcowo odmienny pogląd na sprawę. Lecz nie chcąc przed czasem niepokoić biednej kobiety, udałem, że „cierpienia" pojmuję w ten sam sposób, określając je poddanym mi przez nią szablonowym terminem, jako „lekki rozstrój nerwów, połączony ze sporadycznymi objawami halucynacji wzrokowej". Naturalnie zaleciłem też odpowiednie zabiegi, nie omieszkując prosić o zdawanie mi sprawy od czasu do czasu z wyników kuracji. Na tę niewinną mistyfikację pozwoliłem sobie bez szczególnych wyrzutów sumienia, gdyż w rzeczy samej chciałem zaradzić jeśli nie urojonej według mnie chorobie, to czemuś innemu, co prawdopodobnie kryło się poza tym.

Dziwnym bowiem zbiegiem wypadków parę dni przed konsultacją zaobserwowałem coś, co zwróciło mą uwagę na profesora Czelawę.

Chociaż osobiście nie znaliśmy się dotąd, niejednokrotnie w czasie mych studiów uniwersyteckich słuchałem jego głębokich a oryginalnych wykładów. Mówił wtedy niemal wyłącznie o anormalnych zjawiskach z dziedziny chorób psychicznych. Gruntowna wiedza tego stosunkowo młodego uczonego połączona z genialną intuicją w wyświetlaniu subtelnych i zawiłych problemów zdumiewała mnie zawsze, budząc bezwzględny dlań szacunek i uwielbienie. Zaprawdę nieraz zastanawiałem się nad bogactwem zebranego przezeń materiału, który ujęty w szerokie, wolne od akademickiej pedanterii[38] ramy, tętnił gorącą krwią rzeczy osobiście przeżytych.

Gdzie i kiedy mógł ten człowiek obserwować te ponure objawy duszy ludzkiej, te nad wyraz przykre, czasem odrażające obrazy, z których bił odurzający czad obłąkań i zbrodniczości? — Oto pytania, które nasuwały się często podczas lekcji profesora.

Potem, gdy stosunek mój z wszechnicą[39] rozluźnił się, gdy zacząłem pracować samodzielnie jako praktyk, zapomniałem o Czelawie i jego dziwnej erudycji[40]. Osobiście też nie zbliżyłem się doń ani razu i jestem niewzruszenie pewny, że nie znał mnie nawet z widzenia; wiecznie roztargniony, ciągle zajęty ukochanym przedmiotem, nie zwracał uwagi na słuchaczy i nieraz popełniał zabawne pomyłki co do nazwisk uczniów. Zresztą słuchałem go z amatorstwa raczej niż z konieczności, gdyż specjalny kierunek jego badań nie pozostawał w bezpośredniej styczności z mymi studiami.

Dopiero tydzień temu przypadkowe spostrzeżenie zmusiło mnie do skupienia uwagi na tym ciekawym człowieku.

---

[36] *psychopatologia* — nauka o zaburzeniach psychicznych, szczególnie o ich przyczynach oraz metodach rozpoznawania. [przypis edytorski]

[37] *owszem* (daw.) — co więcej, a nawet. [przypis edytorski]

[38] *pedanteria* — przesadna, zbyt drobiazgowa dokładność. [przypis edytorski]

[39] *wszechnica* — szkoła wyższa. [przypis edytorski]

[40] *erudycja* — rozległe, wszechstronne wykształcenie; oczytanie, wiedza książkowa. [przypis edytorski]

Szczególnym zbiegiem okoliczności przed paru miesiącami sprowadził się Czelawa wraz z żoną do domu, w którym mieszkam już od roku. Zajął cały mezanin[41], mieszkanie wspaniałe, urządzone z wyjątkowym przepychem i zbytkiem. Moje dwa pokoje znajdują się tuż nad nim na pierwszym piętrze i tylko dwukrotnie złamana linia schodów przedziela mnie od uczonego.

Dzięki niespodziewanemu sąsiedztwu odżyło zainteresowanie, które niegdyś we mnie budził; mimo woli też zajmowałem się nim więcej niż innymi lokatorami.

Wkrótce spostrzegłem, że tryb życia profesora jest nader regularny; z nieubłaganą ścisłością po godzinie ósmej rano opuszczał mieszkanie i szedł na prelekcje, z których wróciwszy koło południa, znów koło trzeciej spieszył zapewne jak dawniej do laboratorium; wieczory zwykle poświęcał żonie, spędzając czas w jej towarzystwie w sąsiedniej kawiarni lub na przechadzce; przed wieczorem był już Czelawa w domu i nigdy nie udało mi się zauważyć, by wracał późniejszą porą; zdaje się, że rozrywek nocnych i przedstawień teatralnych nie uznawał. Sądziłem, że życie w tak surowo przestrzeganych normach było dla młodej i pięknej kobiety, jak żona Czelawy, czasami nader przykre i wymagało dużo zaparcia się i rezygnacji. A jednak pani Wanda zdawała się nie odczuwać zupełnie monotonii; twarz jej była zawsze pogodna, a ciemne fijołkowe[42] oczy błyszczały szczęściem, gdy wsparta na ramieniu męża przechadzała się po długich alejach miejskiego parku; i nieraz słyszałem w klatce schodowej jej metaliczny śmiech, gdy koło godziny pół do ósmej wieczorem razem wracali do domu.

Wkrótce potem światło w mieszkaniu Czelawy gasło i cały mezanin pogrążał się w bezwzględnej ciszy; profesor znać[43] lubiał[44] wczesny spoczynek.

Tak jednostajnie upływało zewnętrzne życie uczonego, nieprzerywane odwiedzinami znajomych, nie mącone żadną dystrakcją[45], żadnym choćby najlżejszym odstępstwem od codziennej reguły.

Dopiero tydzień temu, a trzy dni przed wizytą pani Wandy, zauważyłem pewien fakt, który przekonał mnie, że albo obserwacja nie była dokładną, lub też zaszła jakaś zmiana w dotychczasowym trybie życia Czelawy.

Było to w ubiegły czwartek.

Znużony całodzienną pracą, zabawiłem tego wieczora nieco dłużej w amerykańskim barze i dopiero po dziesiątej w nocy udało mi się wymknąć z wesołego grona przyjaciół. Czas był chłodny, deszcz lał strugami, nieznośny wiatr smagał nielitościwie. Z trudem brnąc po wodzie, dotarłem do domu i już miałem wejść do środka, gdy wtem drzwi wchodowe[46] kamienicy otworzyły się i na progu ukazało się jakieś podejrzane indywiduum[47].

Spostrzegłszy mnie, nieznajomy szybko nacisnął na czoło szeroki, czarny kapelusz i oddalił się, lekko utykając, w kierunku miasta.

Stało się tak prędko, że nie zdołałem dokładniej przypatrzyć mu się mimo szczerej ku temu chęci; zdawało mi się bowiem, że nie bardzo był rad ze spotkania. Mimo to przez błyskawicznie krótką chwilę mogłem widzieć profil twarzy, który mi dał dużo do myślenia: miałem wrażenie, że wychodził z domu Czelawa. Niebawem jednak uznałem przypuszczenie za zbyt niedorzeczne; było zbyt ciemno, by móc rozeznać rysy, a wszelkie domysły w podobnych warunkach są nader ryzykowne. Zresztą strój nieznajomego, bardzo zaniedbany, niemal nędzny, wykluczał coś podobnego. Dziwiło tylko, że otworzył sobie bramę sam, gdyż słyszałem wyraźnie zgrzyt klucza; widocznie więc musiał to być jeden z mieszkańców, któremu gospodarz pozwolił klucz dorobić; z drugiej strony jednak zdziwił mnie jego podupadły wygląd; jak na lokatora naszej kamienicy był stanowczo zanadto obdarty. Lecz koniec domysłom położyła coraz mocniejsza ulewa; przestałem oglądać się za znikającą na zakręcie ulicy postacią i korzystając z tego, że zagadkowy gość

---

[41] *mezanin* (archit., z wł.) — półpiętro lub międzypiętro, zwłaszcza między parterem a pierwszym piętrem; antresola. [przypis edytorski]

[42] *fijołkowe* — dziś popr.: fiołkowe. [przypis edytorski]

[43] *znać* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

[44] *lubiał* — dziś popr.: lubił. [przypis edytorski]

[45] *dystrakcja* — czynnik rozpraszający, utrudniający skupienie się. [przypis edytorski]

[46] *wchodowy* — dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

[47] *indywiduum* (z łac.) — ktoś nieznajomy wzbudzający niepokój; określenie często pogardliwe lub lekceważące. [przypis edytorski]

czy współmieszkaniec drzwi za sobą w pośpiechu nie zamknął, wszedłem do wnętrza domu i wkrótce potem znalazłem się u siebie.

Nazajutrz rano serdecznie śmiałem się z wczorajszego spotkania i swoich przypuszczeń. I byłbym niezawodnie zapomniał o nocnej przygodzie, gdyby nie pojawienie się u mnie pani Czelawowej w trzy dni potem.

To, co wtedy od niej usłyszałem, zastanowiło mnie nadzwyczajnie, naprowadzając na domysł, że może przecież niezupełnie się pomyliłem.

Pożegnawszy pacjentkę, jeszcze tej samej nocy zabrałem się do wyświetlenia sprawy. Wiedziony trafnym przeczuciem, że „cierpienia" pani Wandy pozostają w pewnym związku z moim rzekomym „przywidzeniem", wyszedłem z pomieszkania[48] tuż po dziesiątej na platformę schodową i przechylony przez balustradę, czyhałem na korytarzu pierwszego piętra.

Oczekiwanie nie zawiodło. Gdy już pogasły światła, usłyszałem pod sobą na wysokości mezaninu ciche skrzypnięcie drzwi i ostrożnie skradające się kroki: ktoś schodził po schodach w dół. Korzystając z szelestu, jaki mimo wszystko wywoływał ten oględny chód, i ja zeszedłem powoli na dół, by tu zobaczyć rysującą się na tle szyb bramy wchodowej ciemną sylwetę mężczyzny; nie ulegało wątpliwości — było to to samo wytarte indywiduum sprzed tygodnia.

Otworzył sobie kluczem drzwi i zatrzymał się na chwilę u wejścia, pilnie coś przeglądając na dłoni. Cichy dźwięk metalu przesuwanego palcami ułatwił orientację: przeliczał pieniądze na wychodnym.

Wtem, jakby nie dowierzając oczom, podniósł monetę pod światło i odchyliwszy głowę wstecz, badał jej wartość. Skutkiem tego twarz znalazła się w promieniu światła gazowej latarni tuż obok domu i wtedy nabrałem przekonania, że nieznajomym jest Czelawa lub też ktoś łudząco podobny. Na razie mi to wystarczyło i zawróciłem na górę. Tu wyciągnąwszy się wygodnie na sofie, zacząłem analizować ciemną jeszcze dla mnie sprawę.

A zatem — profesor czy jego fizyczny sobowtór wymyka się nocami z domu w sposób tajemniczy, ukradkowy i widocznie wcale nie życzy sobie, by go po drodze spotkano. Może czynił to już i przedtem, od szeregu miesięcy, lat, i dopiero przypadek zdradził mi jego wycieczki?

Lecz w jakim celu i dlaczego w tak lichym stroju?

Atoli właśnie to przebranie stanowiło punkt łączny ze zwierzeniami jego żony i skłoniło mnie do stwierdzenia tożsamości nocnego włóczęgi z Czelawą. Bo oto czego dowiedziałem się podczas pierwszej konsultacji z ust profesorowej.

— Od pewnego czasu — mówiła znękana kobieta — ulegam przykrej nad wyraz halucynacji, którą muszę przypisać moim chorym nerwom. W ubiegłą środę położyłam się, jak zwykle, wcześniej na spoczynek, lecz nie mogłam zasnąć mimo wysiłków. Noc była jasna i księżycowe światło padało do sypialni pełnymi strugami. Już chciałam wstać, by zapuścić roletę, gdy wtem drzwi od pracowni cicho otworzyły się i nade mną pochyliła się jakaś postać. Krzyknęłam, instynktowo[49] szukając ręki śpiącego na sąsiednim łóżku męża. Znalazłam ją trupio zimną, jak zwykle u niego podczas snu, lecz Stach nie obudził się. Tymczasem nieznajomy odwrócił się twarzą ku światłu i wtedy z bezgranicznym przerażeniem spostrzegłam, że człowiekiem stojącym w nogach mego łóżka jest mąż w dziwnie zniszczonym ubraniu. Patrzył na mnie wzrokiem, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziałam: był w nim ohydny cynizm i lubieżność.

Jak sparaliżowana nie mogłam dźwignąć się z łóżka i odpędzić wizji. Wreszcie z ciągle tym samym zwierzęco-namiętnym uśmiechem na ustach cofnął się w głąb pokoju i sczezł[50] z powrotem w gabinecie. Po paru minutach usłyszałam, jak ktoś otwierał drzwi od pracowni, w której zniknął, i wychodził na korytarz. Potem wszystko ucichło...

Przez cały czas bez przerwy trzymałam, kurczowo ściskając, rękę męża; spał snem kamiennym. Gdy widmo rozwiało się, zapaliłam lampę, by przekonać się, że Stach spoczywa rozebrany tuż obok w głębokim jak zwykle uśpieniu. To właśnie umocniło mnie w przekonaniu, że to, co widziałam i słyszałam, było chorobliwą halucynacją nerwów. Od

[48] *pomieszkanie* (daw.) — stałe miejsce zamieszkania, mieszkanie. [przypis edytorski]
[49] *instynktowo* — dziś: instynktownie. [przypis edytorski]
[50] *sczeznąć* (daw.) — umrzeć, zginąć; tu: przenośnie jako zniknąć, przepaść. [przypis edytorski]

owej nocy powtórzyło się to samo jeszcze dwa razy i z nieopisanym strachem oczekuję codziennie chwili zbliżania się nocnego spoczynku.

— Czy zwierzyła się pani z tym mężowi? — zapytałem, gdy przestała opowiadać.

— Nie, jakaś szczególna trwoga wstrzymuje mnie od tego kroku. Gdyby przedmiotem halucynacji był kto inny, nie on właśnie... pan rozumie?

— Tak, łaskawa pani ma najzupełniejszą rację. Nie trzeba mu o tym mówić; właśnie dlatego. Wyjątkowa sytuacja... W tej sprawie jesteśmy zdani wyłącznie na własną pomoc; nie można go wtajemniczać.

I tu zaleciłem parę nic nieznaczących środków lekarskich na uspokojenie nerwów, prosząc na wypadek powtórzenia się „wizji" o bezzwłoczną relację.

O ile zrazu żywiłem jeszcze pewne wątpliwości co do stanu nerwów pani Czelawowej, przypisując choć w części ich rozstrojowi „zmorę" nocną, teraz nabrałem przekonania, że nie ma tu mowy o jakiejś chorobie: „halucynacja" ustępowała stanowczo miejsca zagadkowej rzeczywistości. Wszystko było faktem bez wątpienia dziwnym, niemniej jednak realnym.

Z takiego ujęcia rzeczy wyniknął tajemniczy wniosek: należało przyjąć bezwarunkowo obok osoby profesora Stanisława Władysława Czelawy istnienie drugiego osobnika zupełnie doń podobnego, który zdradzał wyraźną skłonność płciową ku jego żonie. Właśnie ten objaw natury seksualnej zaobserwowany od razu przez nią nie pozwalał na inną hipotezę. Mimochodem uczyniona wzmianka o niezwykle twardym śnie męża i lodowo zimnych „jak zwykle u niego podczas snu" rękach początkowo zdezorientowała mnie i chwilami myślałem, czy przypadkiem nie wchodzi tu w grę coś w rodzaju duchowego sobowtóra, czyli tak zwanego dwojnika. Lecz po głębszej rozwadze odrzuciłem to tłumaczenie jako zbyt fantastyczne i niezgodne z poglądami lekarza. Jakoż[51] przyszłość wykazała, że miałem słuszność.

Chodziło tylko o stosunek, jaki łączył profesora z jego sobowtórem fizycznym. Nasuwało się pytanie, czy w ogóle wiedział o jego istnieniu, a jeśli wiedział, dlaczego nie starał się przeszkodzić niebezpiecznemu zbliżeniu.

Wszystkie te kwestie jednak mogłem rozwiązać tylko przy pomocy jego żony, której dłużej nie należało wprowadzać w błąd; owszem, obowiązkiem mym było wyjawić swe podejrzenia i skłonić ją do współpracy nad rozwikłaniem tajemnicy.

Dlatego z niecierpliwością oczekiwałem jej przybycia.

Nastąpiło niebawem, bo w dzień po stwierdzeniu wycieczek „sobowtóra".

Profesorowa przyszła jeszcze bardziej niż poprzednio zdenerwowana: „halucynacja" powtórzyła się znowu ubiegłej nocy, przybierając formę tym groźniejszą, że wzrok „męża" stał się natarczywszym.

Widząc, że biedna kobieta uważa się za poważnie chorą, bezzwłocznie powiedziałem, co myślę o rzekomej wizji. Sąd mój oparty na dwukrotnej obserwacji zrobił ogromne wrażenie.

— Ależ, panie doktorze — mówiła zmienionym od przerażenia głosem — coś podobnego byłoby okropnym[52]. Istnienie sobowtóra z krwi i kości, wnęcającego się[53] nie wiadomo jak do domu człowieka, który fatalnym przypadkiem jest doń łudząco podobny, byłoby rzeczą potworną. Zaklinam pana na wszystko, proszę mi nie taić prawdy; widząc, jak zaniepokojona jestem stanem mych nerwów, zapewne chciał pan zasugestionować[54] moje obawy, przesuwając właściwe przyczyny zjawiska na coś innego. Lecz środek zawiódł. Wszak widzi pan, że przestrach mój, gdybym nawet wzięła pańską interpretację za dobrą monetę, zmieni tylko pobudki, nie tracąc mimo to nic na swej sile.

— Niestety, łaskawa pani, nic na to nie poradzę. To, co powiedziałem, jest mym najgłębszym przekonaniem. Człowiek taki według mnie istnieje. Mówiłem szczerą prawdę. Jeśli zaś dotąd nie zawiadomiłem odnośnych władz, stało się tylko przez wzgląd na osobę męża pani.

---

[51] *jakoż* (przestarz.) — spójnik akcentujący, że coś, o czym mowa wcześniej, jest prawdziwe, zaszło lub spełniło się: i rzeczywiście, i w samej rzeczy. [przypis edytorski]

[52] *coś podobnego byłoby okropnym* — dziś raczej: coś podobnego byłoby okropne. [przypis edytorski]

[53] *wnęcać się* (daw.) — wkradać się gdzieś. [przypis edytorski]

[54] *sugestionować* — dziś: sugerować; *zasugestionować czyjeś obawy*: wpłynąć na czyjeś obawy, używając sugestii. [przypis edytorski]

Słowa moje, wypowiedziane spokojnie, tonem niekłamanego przekonania, zachwiały znać wątpliwości pani Wandy. Oparła zamyślone czoło na ręce, spoglądając na mnie wzrokiem zlęknionego ptaka.

— Doktorze — zapytała po chwili milczenia — wyrażasz się pan zagadkowo. Co rozumiesz pan przez owe względy, które wstrzymują go od rewelacji publicznej?

— A któż nam zaręczy, czy profesor istotnie nie wie nic o istnieniu tego człowieka?

— Jak to?! — żachnęła się gwałtownie — przypuszcza pan, że pozwoliłby na to, co się dzieje?

— Nie wiem, nic nie wiem, łaskawa pani. Są tylko domysły, niepewne supozycje[55]. Sądzę jednak, że w życiu męża jest jakaś tajemnica, której nikomu, nawet pani, nie może czy nie chce wyjawić. Nie zapominajmy, że jest uczonym. Lecz jeśli już mam skutecznie zająć się tą ciemną sprawą, muszę zadać parę zasadniczych pytań: będą może zbyt niedyskretne, lecz uważam je za konieczne. Zresztą proszę pamiętać, że jestem lekarzem.

— Słucham pana, doktorze.

— O której państwo udają się na spoczynek?

— Mąż punktualnie o ósmej wieczorem. Ja, o ile nie jestem znużoną, czytam jeszcze przez godzinę. O dziewiątej bywam już w łóżku.

— O której wstaje mąż?

— Punktualnie o ósmej rano. Ja zwykle wstaję wcześniej, koło siódmej, by przygotować śniadanie.

— Czy nie odstąpili państwo kiedy od tej reguły?

— Od czasu dziesięcioletniego małżeństwa ani razu, pod tym względem Stach jest nieubłagany.

— Hm... Czy nie zastanawia trochę ta nieugięta niczym punktualność!? Równo dwanaście godzin snu i znów dwanaście godzin stanu jawy.

— Istotnie, w pierwszych latach naszego pożycia było mi trochę trudno nagiąć się do tego trybu, lecz z czasem przyzwyczaiłam się.

— Wspomniała pani, że ręce męża podczas snu są zwykle lodowo zimne. Czy nie dostrzegła pani innych jeszcze objawów?

Ostatnie pytanie było widocznie bardzo niemiłe, przypominając coś, o czym by się chciało zapomnieć.

Po chwili wahania odpowiedziała:

— Rzeczywiście mąż mój w uśpieniu sprawia dziwnie przykre wrażenie. Przez całą noc ani na chwilę się nie budzi i wygląda jak martwy; ciało jest przerażająco zimne, nie słychać oddechu, serce przestaje uderzać. Pamiętam okropną noc, gdy to po raz pierwszy zauważyłam. Myślałam, że nagle umarł. Moje rozpaczliwe wołania o pomoc zbudziły sąsiadów; natychmiast wezwany lekarz okazał się bezradnym[56] i stwierdził śmierć. Może pan wyobrazić sobie moją radość, przestrach i zdumienie, gdy równo z godziną ósmą rano mąż podniósł się z posłania zdrów i rzeźwy jak zwykle. Lecz i do tego przyzwyczaiłam się powoli.

Słuchałem jej zwierzeń ze wzrastającym ciągle zajęciem.

— Rewelacje pani — zauważyłem — noszą piętno czegoś tak niezwykłego, że chwilami skłaniałbym się do przyznania racji spirytystom[57]. Lecz ponieważ nie mam przekonania do ich teorii, przeto[58] mimo wyraźnych symptomów kataleptycznych[59] u męża łaskawej pani poszukam innej drogi do zbadania prawdy. Nie wierzę przynajmniej w tym wypadku w istnienie tak zwanego sobowtóra astralnego, czyli dwojnika. Lecz aby ten problem rozwiązać, muszę dokładnie przypatrzyć się owemu indywiduum. Czy widziała pani twarz jego przy wyraźnym świetle? Nie próbowała pani ani razu podczas „halucynacji" zapalić lampy?

---

[55]*supozycja* (z łac.) — przypuszczenie, domysł. [przypis edytorski]

[56]*okazał się bezradnym* — dziś: okazał się bezradny. [przypis edytorski]

[57]*spirytysta* — zwolennik *spirytyzmu*, wiary w istnienie duchów i możliwość kontaktu z nimi za pośrednictwem wybranych osób, tzw. mediów, podczas specjalnych seansów. [przypis edytorski]

[58]*przeto* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

[59]*kataleptyczny* — charakterystyczny dla katalepsji, to jest zesztywnienia spowodowanego wzrostem napięcia mięśniowego. [przypis edytorski]

— Niestety. Byłam zbyt przerażona, by odważyć się na coś podobnego: nie śmiałam ręki wyciągnąć przed siebie.

— Otóż to właśnie. Obojeśmy widzieli[60] niedokładnie: pani przy niepewnym blasku księżyca, ja przy mdłym świetle latarni i z daleka. Trzeba to naprawić.

— Panie doktorze, ja nie mogę dłużej narażać się na podobne eksperymenty; za dużo by mnie kosztowały. Jeśli pański pogląd na rzecz jest słuszny, grozi mi poważne niebezpieczeństwo. Sama nie wiem, jak postąpić. Może by wszystko powiedzieć mężowi i drogą policyjną uwolnić się od natręta?

— A jeśli profesor wie o tym człowieku, z którym może pozostaje w specjalnym stosunku? Nie, łaskawa pani, tego na razie czynić nie można.

— Więc co robić, co robić?!

— Jedyne wyjście, zdaniem moim, jest następujące. Gdy mąż zaśnie, proszę zostawić światło w sypialni, samej zaś spędzić noc w innym pokoju, zamknąwszy się szczelnie na klucz. Nie sądzę, by odważył się na wyłamanie drzwi; to by narobiło dużo hałasu i zbudziło cały dom; mimo zuchwałości względem pani człowiek ten jednak widocznie nie wyzbył się całkiem środków ostrożności i liczy się z niemiłymi ewentualnościami. Ponadto proszę mieć pod ręką broń na wszelki wypadek. Lecz jestem pewny, że na razie będzie niepotrzebna. Naturalnie nad ranem koło siódmej powróci pani do sypialni, by nie budzić podejrzeń męża.

— Dziękuję panu, doktorze; czuję, że rada znakomita.

— Tylko tymczasowa, znajdę lepszą w przyszłości. Lecz przejdźmy do dalszych kwestii. Wygląd zewnętrzny profesora znam doskonale; miałem sposobność przypatrzyć mu się dokładnie niegdyś podczas wykładów i w ostatnich czasach dzięki bliskiemu sąsiedztwu. Niemniej sądzę, że mąż mnie nie zna z widzenia.

— Jestem tego pewną[61]. Nie zwraca uwagi na otoczenie, tym mniej na ludzi, z którymi nie utrzymuje stosunków towarzyskich.

— Właśnie. To samo i ja zauważyłem. Bardzo mi z tym na rękę.

— Czy zamierza go pan śledzić?! — zapytała trochę niespokojna.

— Muszę; to mój jedyny środek. Proszę się nie obawiać, potrafię być dyskretnym[62]. Lecz nie odbiegajmy od tematu. Zdaje mi się, mąż utyka lekko na jedną nogę?

— Tak, na prawą.

— Czy powód znany pani?

— Owszem. Uległ podobno w młodości wypadkowi, po którym pozostały wyraźne ślady; na prawym biodrze ma szeroką bliznę.

— Hm... tak. Czy była pani kiedy w pracowni profesora, z której wychodzi i gdzie znika jego „sobowtór"?

— Nie. Tam nie wolno mi wchodzić.

— To dziwne. Więc przecież mąż ma swe tajemnice. Czy nie starał się umotywować przed nią zakazu?

— Mówił, że czyni to z obawy o mnie. W gabinecie przechowywać ma rozmaite przyrządy naukowe i preparaty, z którymi należy się obchodzić nadzwyczaj ostrożnie.

— Hm... być może. A teraz na koniec pozwolę sobie zadać jeszcze jedno pytanie. Jest trochę kłopotliwe, lecz może ułatwi mi zadanie. Czy stosunki małżeńskie państwa są serdeczne?

— Kocham go i uwielbiam. Jest dla mnie dobry, na niczym mi nie zbywa.

— Przepraszam — o tym nigdy nie wątpiłem. Lecz chodzi tu o stosunki płciowe.

Pani Wanda, lekko zarumieniwszy się, odpowiedziała z zakłopotaniem w głosie:

— Pod tym względem należymy do wyjątków. Można by uważać nas za anormalnych: obcujemy rzadko, przy czym nie odczuwamy szczególnej rozkoszy. W ogóle co do mnie, nie uważam aktu płciowego za integralną część współżycia małżonków.

— No tak, rzecz zapatrywania i organizmu.

I na tym zakończyłem posiedzenie, prosząc nadal o częste porozumiewanie się ze mną, konieczne do zamierzonej współpracy. Przyrzekła z wdzięcznością w oczach.

---

[60] *obojeśmy widzieli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: oboje widzieliśmy. [przypis edytorski]

[61] *Jestem tego pewną* — dziś: Jestem tego pewna. [przypis edytorski]

[62] *potrafię być dyskretnym* — dziś: potrafię być dyskretny. [przypis edytorski]

Jakoż od owego popołudnia widywaliśmy się codziennie. Profesorowa zdawała relację ze swoich spostrzeżeń, które zestawiałem z własnymi, przy czym uzupełniały się i tłumaczyły nawzajem znakomicie.

Jeszcze tego samego wieczora zabawiłem się w detektywa. Chcąc mieć na wszelki wypadek swobodę ruchów w obecności Czelawy i domniemanego „sobowtóra", ucharakteryzowałem się do niepoznania w stylu *à la canaille*[63] i w wyniszczonym mocno ubraniu czekałem na platformie schodowej.

Po dziesiątej, jak zwykle, otworzyły się drzwi gabinetu profesora i z wnętrza wysunęło się tajemnicze indywiduum. Przeczekałem, aż wyszedł za bramę, po czym przy pomocy własnego klucza wymknąłem się za nim na ulicę.

Szedł szybko w stronę podmiejskich bulwarów, od czasu do czasu oglądając się ostrożnie; wtedy kryłem się za drzewa lub domy, dopóki nie weszliśmy w strefę ludniejszą. Tu byłem już swobodny. Obdartus kluczył po plugawych uliczkach, zanurzał się w jakieś kręte zaułki, gubił w typowych wielkomiejskich *culs de sac*[64] bez wyjścia, ciemnych i ponurych jak ich powiernica, noc.

Widocznie był w tych stronach postacią popularną, bo co parę kroków spotykał znajomych, równie jak on wytartych rzezimieszków, którzy witali go serdeczno-grubańskimi przydomkami. Parę razy ku niemałemu zdziwieniu obiło mi się o uszy imię Stachur.

Wreszcie włóczęga zawinął do jakiejś wielce podejrzanej oberży z charakterystyczną wywieszką: „Gospoda Pod Rudą Bertą". Z wnętrza dochodziły już na znaczną odległość pijackie krzyki i śpiewy podochoconych gości. Obejrzawszy raz jeszcze dokładnie rewolwer, ukryty w kieszeni mego postrzępionego surduta, i ja z kolei wszedłem do tego ziemskiego eldorada[65].

Pierwsze spojrzenie rzucone dookoła pouczyło o tym, gdzie jestem: byłem w jednej z najohydniejszych nor, w jednej z tych tajemniczych kryjówek, w których wylęga się zbrodnia i jej towarzyszki. W niskiej, beznadziejnie brudnej izbie poruszało się poprzez gęstą mgłę dymu z cygar, fajek i papierosów kilkanaście osób mieszanej płci. Kilku mężczyzn o twarzach zbójeckich grało pod oknem w karty, inna grupa ćmiła zapamiętale tytoń przy pełnych szklankach absyntu[66]; z kątów odzywały się cyniczne śmiechy baraszkujących dziewek, przerywane szerokim rechotem wielbicieli. Jakaś kobieta na wpół obnażona tańczyła na stole wśród dzikich podrzutów kankana[67] w takt przygrywających mandolin. Za bufetem drzemała młoda jeszcze, lecz już wyniszczona dziewczyna.

Usiadłem przy jednym ze stołów i zażądałem rumu. Trzeba było od razu wejść w tempo „Rudej Berty" i wstępnym bojem zdobyć sobie prawo obywatelstwa. Zacząłem tedy[68] wtórować dźwiękom instrumentów głosem chrapliwym, sztucznie wyuzdanym, improwizując piosenki zaprawne[69] wisielczym sentymentem.

Sukces był zupełny. Otoczono mnie wśród oznak uznania. Po chwilowej przerwie nastąpiły tłumne pytania i indagacje. Przedstawiłem się jako zbiegły z więzienia włamywacz z bogatą i płodną w epizody przeszłością. Rozpoczęła się serdeczna pogawędka, w której wysilałem się na grube dowcipy, opowiadając setne kawały z tysiąca i jednej zbrodni, moje przejścia z władzami, awantury z agentami policji itp. Równocześnie śledziłem niepostrzeżenie „sobowtóra". Ten w chwili mego wstąpienia w progi oberży stał w środku izby okolony gromadą towarzyszy, którym opowiadał coś arcyzabawnego, bo od czasu do czasu wybuchali salwami śmiechu: brat Stachur był widocznie bardzo dowcipny.

Mogłem teraz przy świetle bliżej mu się przyglądnąć. I oto po troskliwym przeprowadzeniu obserwacji stwierdziłem z zadowoleniem, że tego człowieka stanowczo nie można było nazwać sobowtórem profesora Czelawy. Był wprawdzie zadziwiająco doń podobny, lecz nie identyczny. Staranna analiza rysów usuwała wszelkie wątpliwości. Równocześnie miało się wrażenie, że różnice między twarzą Czelawy i brata Stachura wytworzyły się

[63] *à la canaille* (fr.) — na wzór hołoty, oberwańca. [przypis edytorski]

[64] *culs de sac* (fr.) — ślepe zaułki. [przypis edytorski]

[65] *eldorado* — wymarzona, dostatnia kraina; od nazwy *Eldorado*: kraju złota, legendarnej krainy w Ameryce, w której istnienie wierzono w XVI w. [przypis edytorski]

[66] *absynt* — wysokoprocentowy alkohol na bazie m. in. piołunu i anyżu. [przypis edytorski]

[67] *kankan* — żywy, skoczny taniec wykonywany w kabaretach. [przypis edytorski]

[68] *tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

[69] *zaprawne* — dziś: zaprawione. [przypis edytorski]

jakby dopiero z czasem; mimo woli nasuwała się myśl, że obaj mieli kiedyś twarze najzupełniej jednakowe, które później wskutek odmiennych kolei życia uległy zróżnicowaniu, zatrzymując w liniach zasadniczych elementy wspólne.

Przyczyny tego rozdźwięku mogły leżeć zarówno w przeżyciach duchowych, jak fizycznych. Oblicze Stachura nosiło ślady rozpusty i nocnych hulanek; spod wspaniale sklepionego czoła Czelawy wyzierały jego głębokie oczy, lecz jakby znieprawione obcym mu wyrazem — inteligencja uczonego weszła tu w dziwaczny sojusz z rozbestwieniem. Były to dwie nader do siebie podobne, lecz przecież różne osobowości.

Zauważyłem nadto jeszcze inne, silniej zaakcentowane różnice. Przez czoło Stachura biegła podłużna rysa, jak od rozcięcia ostrym narzędziem lub szkłem, zapewne ślad jakiejś awantury, w które bez wątpienia obfitowało jego życie. Lecz najbardziej zastanawiał jeden szczegół, który od razu wpadał w oko. Profesor utykał na nogę prawą, gdy ruchy Stachura zdradzały podobną ułomność, lecz po przeciwnej stronie ciała: kulał wyraźnie na lewą. Ta różnica, a równocześnie podobieństwo dawały dużo do myślenia.

Postanowiłem z kolei dokładniej zapoznać się z jego charakterem i psychiką, na razie poprzestając na obserwacji z daleka.

Zachowywał się głośno, czując się tutaj jak u siebie. Mówił głosem ochrypłym, tonem drwiąco żartobliwym. Wkrótce postrzegłem, że mimo powierzchowności zupełnie dostrojonej do tła przecież go wyróżniają. Wyglądało to z zachowania się gości, z pewnego półświadomego szacunku, z jakim się doń zwracano. Być może dlatego, że cynizmem przewyższał wszystkich, być może z innej przyczyny. Przechodził od grupy do grupy, przypijał, poklepywał po plecach protekcjonalnie, podniecał do żartów i wyuzdania.

W ten sposób zbliżył się i do kilku apaszy[70] siedzących opodal mego stołu. Zaraz zrobiono mu miejsce i podsunięto świeżą szklankę. Jeden z towarzystwa zaczął coś opowiadać. Rzecz zdaje się zajęła go, bo rozsiadł się wygodnie i zapaliwszy fajkę, przysłuchiwał się z zajęciem.

Zaciekawiony wytężyłem słuch, by pochwycić choć parę słów.

Apasz ze zwycięskim uśmiechem na wargach grubych, zmysłowych opowiadał ohydną historię, w której zwyrodnienie płciowe szło o lepsze z bestialstwem.

Stachurowi zwierzenia widocznie bardzo przypadły do gustu, bo ciągle uśmiechał się, dolewał mu wina i przerywał od czasu do czasu pytaniami o szczegóły.

Lecz właśnie te pytania przedstawiły mi go w całkiem nowym świetle. Były dziwnie inteligentne, stawiane, rzekłbym, metodycznie. Gdy tak patrzyłem nań, jak siedział rozparty w krześle z oczyma wlepionymi w narratora, rzucając chwilami jakąś uwagę, równie bezwstydną, jak trafną — mimo woli zestawiałem go z profesorem Czelawą: Stachur zdawał się wprost badać towarzysza, który nie podejrzewając dla mnie oczywistej intencji, wywnętrzał się z naiwnie bezwstydną otwartością. Gdy skończył, Stachur bryznął na pożegnanie przejaskrawionym żartem i zbliżył się do mego stolika. Widząc to, zacząłem zmyślać dłuższą historię, w której odgrywałem rzekomo pierwszą rolę; mówiłem płynnie, okraszając rzecz stereotypowymi wyrażeniami z gwary podmiejskiej.

Słuchacze, spostrzegłszy zbliżającego się brata, przepuścili go bliżej; usiadł obok, nie spuszczając ze mnie oka. Wzrok jego przeszywający, bystry mieszał mnie i czułem się nieswój. Lecz Stachur milczał i nie przeszkadzał mi, uśmiechając się czasem nieznacznie. Potem nic nie mówiąc, odszedł w głąb sali.

Gdy się trochę koło mnie przerzedziło i gospoda z wolna zaczęła się opróżniać, niespodzianie przysiadł się do mnie, ujmując poufale za ramię:

— No, towarzyszu miły, sądzę, że będziemy przyjaciółmi. Zdaje się, żeśmy z jednego gniazda ptaki.

Myśląc, że to tylko zwykła forma przyjęcia do grona „Rudej Berty", trąciłem o jego szklankę na znak braterstwa. Lecz wyraz mej twarzy w tej chwili nie podobał mu się widocznie, bo z filuternym uśmiechem zauważył:

— Tylko bez tych stylizowań. Ze mną nie potrzeba. Co innego tamci — wskazał pogardliwie na izbę — my pokrewne duchy; przejrzałem cię na wylot... No, przyznaj się, przyszedłeś tu na studia, co?

[70] *apasz* — chuligan, drobny przestępca, osoba z paryskiego półświatka. [przypis edytorski]

Zaskoczony znienacka, patrzyłem nań w osłupieniu. Powoli zorientowałem się. Nie chcąc grać w zupełnie otwarte karty, zniżonym głosem przedstawiłem się jako jednostka wykolejona, niegdyś literat, obecnie z nędzy i rozpaczy szukający pociechy w napoju i obcowaniu z mętami. Uwierzył.

— Widzisz, bratku, od razu poznałem, że tu się coś święci. No, jakoś pójdzie. Będziemy razem studiowali; może co z tego wydłubiesz. A warto, bardzo, bardzo. Co za typy, co za ludzie! Panorama obłąkań, pandemonium[71] żądz, wykwit zbrodniczości! Pyszne okazy! Słyszałeś, co ten nożownik spod okna gadał przed chwilą?

Zrobiłem potwierdzający ruch głową.

— A wiesz?... aha, jak się wabisz?

— Kazimierz Dzierzba — zmyśliłem naprędce.

— A wiesz, Dzierzbo, co w tym wszystkim najwspanialszego?

Popatrzyłem pytająco.

— Że żaden z tych dobrych ludzi nie przypuszcza, że ich podpatruję. Niby to się gada, przytakuje, dodaje, a wszystko z premedytacją, według planu, metodycznie. Na pasku ich wodzę.

— Słuchaj no, Stachur — przerwałem — a tobie to na co?

— Z amatorstwa, rozumie się, taki sobie dyletantyzm[72]. Uważasz? — odparł szybko.

— Rozumiem; to cię bawi.

— Tak, tak. Wrodzona skłonność do tropienia ludzkiej podszewki. Zresztą jest mi tu dobrze. Potrzebuję ich, nie mógłbym już żyć inaczej. Poza tym lubię bagienko. To mój żywioł.

— A dawniej?

— Jak to dawniej? Masz na myśli moją przeszłość. Hm... tak mniej więcej było od najwcześniejszej młodości. Zawsze ciągnęło mnie coś do tych nor. Ot, taki sobie nocny człowiek.

— I to ci wystarcza do szczęścia? Ta nędza, ten brud?

— Ha, tak się jakoś złożyło. — Posmutniał. — Ale wkrótce to się zmieni. I mnie się też należy mój dział. Postaram się o pieniądze.

Patrzył dziko, mściwie, gniewnie.

— Jeszcze poczekam jakiś czas — dodał ponuro — lecz potem... No, ale to ciebie nie obchodzi. Lepiej pogadajmy o czym innym.

I zaczął ze mną formalną dysputę na tle zagadnień psychozy.

Byłem zdumiony. Ten obdartus mówił jak pierwszorzędny psychiatra. Znał wszystkie najnowsze teorie, wszystkie badania, eksperymenty, zbijał jedne, prostował drugie. Poglądy jego zabarwione silnym indywidualizmem przypomniały mi zaraz prelekcje Czelawy; były momenty, w których powątpiewałem o istnieniu dwóch odrębnych ludzi: brata Stachura i profesora, stapiając ich w jedno. Lecz iluzja rozpływała się za pierwszym rzutem oka na tę twarz obrzękłą od pijaństwa, porysowaną bliznami, na dźwięk tego głosu ochrypłego od nocnych wybryków. Przede mną siedział Stachur, brat Stachur, tylko z kompletnym zasobem wiedzy profesora Czelawy. Dziwne to było, tajemnicze, lecz rzeczywiste.

Koło piątej nad ranem rozstaliśmy się. On opuścił oberżę pierwszy, ja wychyliłem się w parę minut za nim, zachowując przyzwoite oddalenie. Szliśmy oczywiście w jedną stronę; by go dalej śledzić, nie potrzebowałem zbaczać od mego mieszkania.

O trzy na szóstą[73], zanim zaczął się ruch w kamienicy, otworzył bramę i zniknął we wnętrzu.

Znużony całonocnym czuwaniem i ja wkrótce położyłem się na dwie godziny drzemki. Koło ósmej wstałem, by usunąć zbędną już charakteryzację i przebrać się. Wychyliwszy naprędce filiżankę kawy, pospieszyłem na uniwersytet. Tego dnia kończył Czelawa cykl swych wykładów na temat „Psychoza a życie płciowe". Dla mnie, który już od szeregu

[71] *pandemonium* (gr. *pan*: wszech, *daimonion*: zły lub dobry duch) — królestwo demonów, piekło; wyraz utworzony przez J. Miltona (1608–1674), w poemacie *Raj utracony* oznacza stolicę piekła. [przypis edytorski]

[72] *dyletantyzm* — zajmowanie się czymś niezawodowo. [przypis edytorski]

[73] *o trzy na szóstą* — dziś: trzy minuty przed szóstą. [przypis edytorski]

lat przestałem uczęszczać na prelekcje, miała ta godzina szczególny urok. Odżyły wspomnienia, przypomniały się ambicje i kłopoty akademika. Wzruszony witałem stare sale, długie, chłodne korytarze.

Lekcja zaczęła się o dziesiątej. Profesor mówił jak zwykle świetnie, rozwijał swe poglądy jasno, przejrzyście a głęboko. Czuć było jednak w głosie zmęczenie, w ruchach zdenerwowanie i niepokój. W połowie wykładu interes[74] słuchaczy wzmógł się: uczony przytaczał przykłady ilustrujące jego teorię. Były nader plastyczne, podane z sugestionującą[75] siłą wyrażeń. Lecz z pewnością na nikim nie sprawiły tak silnego wrażenia jak na mnie. Bo któż opisze me zdumienie, gdy pomiędzy wypadkami zboczeń seksualnych zauważyłem historię słyszaną minionej nocy w gospodzie. Profesor powtórzył ją bez zmiany treści, nadając jej tylko zastosowaną[76] do audytorium formę. Czelawa wyzyskał sumiennie przeżycia Stachura.

Natychmiast po lekcji, koło godziny jedenastej rano, wróciłem do domu i kazałem się zaanonsować[77] pani Wandzie w jej mieszkaniu. Przyjęła mnie bez wahania. Mieliśmy czasu dość na pogadankę, bo uczony wracał na obiad dopiero o pierwszej w południe.

Z łatwą do zrozumienia ciekawością słuchałem jej relacji z ubiegłej nocy i rana.

Stosownie do mej rady zamknęła się wczoraj wieczorem koło dziesiątej w pokoju przylegającym do sypialni, zamierzając przeczekać godzinę „halucynacji". Jakoż po dziesiątej w nocy usłyszała za ścianą ciche kroki. Z zapartym tchem patrzyła w sypialny pokój przez otwór klucza. W środku oświetlonej jasno lampą elektryczną sypialni stał „sobowtór", patrząc z rozczarowaniem na puste jej łóżko. Jakiś czas krążył jak dziki zwierz w klatce, wreszcie jakby domyślając się, chwycił za klamkę od drzwi do sąsiedniego pokoju. Gdy usiłowania spełzły na niczym, zwinął pięść gestem pogróżki w stronę śpiącego martwo profesora i wyszedł przez gabinet. Wtedy dopiero z uczuciem ulgi udała się na spoczynek.

Nad ranem wstała wcześniej, koło pół do szóstej, i była świadkiem powrotu Stachura. Wyszedł znów na chwilę z pracowni męża, lecz i tym razem nie zastawszy jej jeszcze w pokoju, cofnął się do środka tajemniczego wnętrza. Przez cały czas Czelawa nie ruszył się z posłania, nie otworzył ust. O ósmej zbudził się, wypił śniadanie i kwadrans potem przeprowadzony przez żonę na schody, wyszedł z mieszkania.

— Czy nie wrócił mąż w chwilę potem, by zaglądnąć do pracowni? — zagadnąłem w ciągu rozmowy.

— Z wszelką pewnością nie. Drzwi wchodowe pomieszkania zostawiłam otwarte celem przewietrzenia pokoju i sama aż do paru minut po dziesiątej przebywałam w sypialni, od czasu do czasu wychodząc w klatkę schodową. Absolutnie nie było nikogo. Powrót męża nie byłby uszedł mej uwagi.

— Tak, naturalnie. A ja o godzinie dziesiątej słuchałem już osobiście wykładu profesora. Porozumienie zatem ustne wykluczone. Czy mąż nie zaglądał ani razu przed odejściem do laboratorium?

— Stanowczo nie. Spieszył się tylko niezwykle i był zdenerwowany, jak zresztą w ogóle w ostatnich dniach. Zdaje mi się, panie doktorze, że on już wie o mojej przeprowadzce do salonu.

— Przypuszczam, że tak, wnioskując z innych objawów.

— Ale w jaki sposób? Czy sądzi pan, że zdołał się już porozumieć z tym ohydnym człowiekiem? Przecież to stało się dopiero dziś w nocy po raz pierwszy.

— Niekoniecznie, może tego nawet nie potrzebuje.

Profesorowa patrzyła wzrokiem wyczekującym wyjaśnień.

— Na razie wstrzymam się z odpowiedzią. Być może wkrótce dowiemy się całej prawdy. Czy nie ma łaskawa pani mi nic więcej do powiedzenia?

— Owszem. Odchodząc, mąż przystąpił do mnie i z rzadkim u niego zakłopotaniem powiedział: „Wybacz mi, że narażam cię w ostatnich czasach na pewne nieprzyjemności, lecz robię to w imię nauki. Zresztą dobrze zrobiłaś, usuwając się. Wkrótce zmieni się

[74] *interes* — dziś: zainteresowanie. [przypis edytorski]
[75] *sugestionujący* — dziś: sugestywny. [przypis edytorski]
[76] *zastosowany do kogoś* — dziś: dostosowany do kogoś. [przypis edytorski]
[77] *anonsować* — zapowiadać, ogłaszać czyjeś przybycie. [przypis edytorski]

wszystko pomyślnie. Na wszelki wypadek miej w nocy przy sobie tę broń…" I wręczywszy mi browning[78], szybko oddalił się.

— Hm… to ciekawe. Przecież obawia się. Myślę, że w dzień jest łaskawa pani bezpieczną[79]: od ósmej rano do ósmej wieczór.

— Postanowiłam nie rozstawać się z rewolwerem[80]. Jeśli ten człowiek naprawdę istnieje, to sąsiedztwo jego tak bliskie w pracowni jest nader ryzykowne.

— Proszę być spokojną. On teraz najprawdopodobniej nieszkodliwy. Zresztą musimy zaraz tam wejść.

— Gdzie? Do pracowni? To niemożliwe! Mąż nosi klucz zawsze ze sobą…

— Poślemy po ślusarza, proszę się nie obawiać.

— Nie! nie mogę na to pozwolić. Zauważy.

— Nie ma obawy. Zamek każemy natychmiast naprawić.

Pani Wanda z rezygnacją ustąpiła.

W godzinę potem wszedłem do zagadkowego sanktuarium, gdy profesorowa z trwogą wyglądała z sypialni. Przypuszczenia moje ziściły się najzupełniej; w rzekomym laboratorium zastałem na sofie pogrążonego w uśpieniu Stachura. Nie rozebrał się nawet, leżąc w swym wytartym, zniszczonym ubraniu. Sen jego zdradzał objawy zupełnie podobne do tych, które zauważyła pani Czelawowa u męża; ciało było jakby skrzepłe, lodowate, serce nie biło: Stachur spał snem kamiennym.

Zachęcona przeze mnie pani Wanda podeszła do sobowtóra, by rozpoznać nocnego intruza, który od tylu dni mącił jej godziny spoczynku. Biedna kobieta stała w bezradnej zadumie wobec niezwykłego fenomenu[81] i dopiero na moją uwagę, że czas wracać, ocknęła się z zamyślenia.

Przywołany powtórnie ślusarz naprawił zamek, po czym zatrzasnąłem drzwi „pracowni" z powrotem.

— A teraz — rzekłem na pożegnanie — mam do łaskawej pani małą prośbę.

— Proszę, panie doktorze, o cóż chodzi?

— Pragnę zapoznać się osobiście z profesorem. W tym celu proszę być z nim dzisiaj po południu po piątej w kawiarni, którą państwo zwykle odwiedzają. Sposób zawarcia znajomości znajdę sam. Naturalnie nie zdradzi się pani ani słowem. I my również poznamy się dzisiaj dopiero po raz pierwszy. Rozumie łaskawa pani?

— Przystaję z całą gotowością, lecz pod warunkiem, że go pan nie narazi na nic niemiłego. Chcę oszczędzić mu za wszelką cenę kompromitacji.

Zapewniwszy słowem najściślejszą dyskrecję, pożegnałem się i wróciłem do siebie.

Materiał w sprawie Czelawy zebrany od wczorajszej nocy przedstawiał się teraz bardzo zajmująco. Trzeba było tylko przeprowadzić analizę i wyciągnąć wnioski.

Nie wątpiłem już więcej, że między uczonym a Stachurem istnieje specjalny związek psychofizyczny, dzięki któremu stanowi jawy pierwszego towarzyszyło zbliżone do katalepsji, lubo[82] z nią nieidentyczne, uśpienie drugiego; wspólny obu prąd życiowy zdawał się przepływać kolejno od jednego do drugiego, nie pozwalając na równoczesny proces biologiczny; ci ludzie prawdopodobnie nigdy ze sobą nie zamienili ani słowa, nie spojrzeli sobie w oczy — nie mogli nawet, mimo przypuścić się dającej do tego chęci.

A przecież jeden wiedział z przedziwną dokładnością o przeżyciach drugiego. Lecz należało ten punkt ustalić. A jeśli Stachur, nie mogąc się inaczej porozumieć, po każdej przehulanej nocy zdawał pisemną relację swemu wspólnikowi? I na odwrót?

Musiałem stanowczo poznać się z Czelawą, mieć z nim wspólne jakieś błahe przeżycie obojętne dla sprawy interesującej równocześnie jego i brata Stachura: o pewne szczegóły związane z tym drobiazgiem można by potem lekko potrącić w obecności nocnego włóczęgi, a jeśli odpowie stosownym rezonansem, przypuszczenia moje co do tożsamości pamięci u obu i związanych z nią kwestii będą niezbitym pewnikiem.

---

[78] *browning* (pot., przest.) — pistolet, od nazwy pierwszych pistoletów samopowtarzalnych opartych o odrzut zamka swobodnego. [przypis edytorski]

[79] *jest (…) pani bezpieczną* — dziś: jest pani bezpieczna. [przypis edytorski]

[80] *rewolwer* — tu: błędnie jako synonim pistoletu. [przypis edytorski]

[81] *fenomen* — zjawisko. [przypis edytorski]

[82] *lubo* (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

Dlatego z niecierpliwością czekałem na godzinę piątą wieczorem, w której miało nastąpić poznanie.

Jakoż koło wpół do piątej zjawili się Czelawowie w kawiarni. Profesor zajął miejsce obok żony pod oknem i zatopił się w czytaniu dzienników. Przysiadłem się do sąsiedniego stolika, składając oględny ukłon pani Wandzie.

Skończywszy przegląd pism, Czelawa wszczął obojętną rozmowę z żoną. Byłem w kłopocie, jak zawiązać znajomość; lecz szczęście mi sprzyjało. Uczony, zapalony szachista, zaczął po chwili utyskiwać[83], że nie ma zwykłego partnera, za którym bezskutecznie rozglądał się po sali. Skorzystałem ze sposobności i zbliżywszy się do jego stolika, przedstawiłem się, proponując partię szachów.

Czelawa, lubo nieco zdziwiony, przystał z ochotą i zaczęliśmy grę.

Przyznać muszę, grał świetnie, lecz i ja mam pewną wprawę; toteż szczęście kampanii ważyło się na obie strony: raz ja dostałem mata, to znów on poniósł porażkę. Powoli roznamiętnił się i sam zażądał odwetu.

Przez cały przeciąg[84] gry mówiliśmy mało; raz tylko spojrzenie jego zamyślonych oczu spoczęło na mnie nieco dłużej.

— Wie pan — zagadnął, zatrzymując rękę na poruszonej figurze — zdaje mi się, że my się skądś znamy. Ale gdzie to być mogło? Twarz pańska tak mi kogoś przypomina.

— Bardzo możliwe, panie profesorze; byłem jego długoletnim słuchaczem[85] — pospieszyłem z wyjaśnieniem.

— Ach tak, ma pan rację. Lecz tyle się co roku przesuwa przede mną twarzy, że trudno zapamiętać.

I uspokojony posunął wieżę.

Tymczasem czas upływał szybko i zbliżała się fatalna godzina ósma. Czwarta z rzędu partia, którą zaczęliśmy po siódmej, przeciągnęła się zapowiadając na dalszą metę. Umyślnie zastanawiałem się dłużej nad każdym ruchem i wikłałem sytuację. Czelawa niecierpliwił się i ciągle spoglądał na zegarek. Wreszcie, gdy było już trzy na ósmą[86], przerwał grę w bardzo naprężonym momencie i przeprosił za zawód.

— Mam dziś jeszcze posiedzenie o ósmej — skłamał niezręcznie. — Lecz partię tę musimy rozstrzygnąć jutro. Położenie nader zajmujące. Może byśmy zapamiętali sobie obecną sytuację. Wszak mi pan nie odmówi, nieprawdaż?

— Z prawdziwą przyjemnością, panie profesorze.

I uważnie rzuciwszy raz jeszcze okiem na szachownicę, rozstaliśmy się.

Powróciwszy do siebie, przeprowadziłem znów metamorfozę mojej osoby w stylu z wczorajszej nocy i przed jedenastą siedziałem już w oberży. Brat Stachur spóźnił się nieco i przyszedł po mnie w bardzo złym humorze. Zaraz na wstępie zażądał paru szklanek absyntu z rumem i wychylił duszkiem jedną po drugiej: niechybnie zamierzał się upić. Jakoż po północy szalał już na dobre.

W stosownej chwili odciągnąłem go na stronę, proponując grę w szachy.

— Wiesz — zagaiłem — jeden z moich znajomych zadał mi wczoraj do rozwiązania łamigłówkę szachową. Wyobraź sobie, grał z jakimś jegomościem, lecz z braku czasu musiał grę przerwać. Końcowy układ figur zapamiętał, obiecując sobie dokończyć partię później. Sytuacja bardzo ciekawa; może byśmy ją rozwiązali w dwójkę; weźmiesz białe, których pozycja korzystniejsza. No, jakże, będziesz grał, Stachur?

— No dobrze, literacie — odparł trochę rozczulony — ustawiaj, ale prędko, bo mam dziś do załatwienia jeszcze jedną arcyważną sprawę.

Zacząłem ustawiać szachy, odtwarzając sytuację z nierozstrzygniętej partii z profesorem. Pamięć mam niezłą i wkrótce zrekonstruowałem pozycję czarnych.

Przeszedłszy następnie do reprodukcji strony przeciwnej, umyślnie postawiłem trzy figury na niewłaściwym miejscu, celowo fałszując rzeczywistą sytuację.

Stachur spojrzał uważnie na szachownicę, potem podniósł na mnie badawcze oczy:

— Jak się nazywa ten twój znajomy, który przerwał tę partię? — zapytał zaciekawiony.

---

[83] *utyskiwać* — narzekać. [przypis edytorski]

[84] *przeciąg gry* (daw.) — dziś popr.: czas trwania gry a. czas gry. [przypis edytorski]

[85] *panie profesorze, byłem jego długoletnim słuchaczem* — dziś: panie profesorze, byłem pańskim (pana) długoletnim słuchaczem. [przypis edytorski]

[86] *trzy na ósmą* — dziś: za trzy ósma. [przypis edytorski]

Wymieniłem obojętnie swoje właściwe nazwisko.

— Aha! Tak, prawda, wszystko w porządku. Ale, wiesz co, kochany Dzierzbo? Albo tobie, lub też temu młodemu lekarzowi nie dopisała pamięć. Popełniłeś w trzech miejscach pomyłkę.

I spokojnie przesunął figury na właściwe pozycje.

Chociaż czekałem na to, mimo to trudno było oprzeć się uczuciu zdumienia. Stachur, zauważywszy wyraz mej twarzy, zaśmiał się triumfująco:

— No cóż, nieprawdaż, że tak stały?

Przyznałem bez wahania.

— Ale skąd u licha możesz coś podobnego wiedzieć? Chyba nie na podstawie techniki szachowej? Popełnione przeze mnie istotnie pomyłki nie sprzeciwiają się w niczym logice gry.

— Wiesz co, Dzierzba? — rzekł po chwili. — Zostawmy w spokoju te figurki. Zbyt dziś jestem wzburzony, by grać dobrze. Natomiast zajmijmy się czymś innym. Nie przypuszczasz nawet, o jak ciekawą sprawę potrąciłeś, zadając mi przypadkiem swoją zagadkę. Lecz ja ci zadam jeszcze ciekawszą, o jakiej się jeszcze nie śniło naszym filozofom... Zuziu, serdeńko, podaj no jeszcze szklaneczkę! — krzyknął na młodą kelnerkę, przechodzącą obok, i objął ją szerokim uściskiem.

Dziewczyna wymknęła się zręcznie, by wkrótce wrócić z żądanym napojem. Stachur posadził ją sobie na kolana i obsypawszy całą serią gminnych czułości, wypuścił z powrotem ze swych objęć.

— Teraz możesz odlecieć, turkawko.

— Setna dziewka — zwrócił się do mnie, wskazując na oddalającą się. — Co za ciało! Specjały, literacie, frykasy[87]! Radzę ci umizgnąć się[88]. Nie pożałujesz. Ale to są sprawy drugorzędne w tym momencie. Zacznijmy dyskusję *sub specie aeternitatis*[89].

Wyciągnął daleko przed siebie nogi, łyknął haust absyntu i patrząc mi w oczy z zagadkowo tajemniczym wyrazem, zaczął:

— A wiesz, Dzierzbo, z kim grał w szachy twój doktor?

— Skądże mam wiedzieć? O nazwisko partnera nie pytałem.

— Ze mną.

Stachur z widoczną satysfakcją śledził wrażenie wywołane tą enuncjacją[90].

— Wolne żarty. Kpisz czy o drogę pytasz?

— Mówię całkiem serio. Pan doktor grał wczoraj wieczorem koło siódmej tę partię ze mną *vulgo*[91] z profesorem Czelawą.

— Kłamiesz, Stachur. Czelawę znam z wykładów uniwersyteckich, lubo nie osobiście; był niegdyś mym profesorem; wykładał psychologię stanów anormalnych.

— Bajecznie! Cudownie! Witam cię, kochany uczniu!

Stachur kordialnie[92] ujął mnie w ramiona.

— Zwariowałeś?

— Ani trochę. Brat Stachur i profesor Władysław Stanisław Czelawa to jedna jaźń w dwóch formach, to jest w dwóch ciałach. Rozumiesz, serdeńko?

— Ani trochę.

— *Non fa niente, ragazzo mio, non fa niente*[93]. Oto nieco z grubsza ociosana parabola; trochę może ordynarna, lecz zastosowana do tutejszego środowiska.

Maska

Sięgnął po brudny kufel z piwa, przelał doń część absyntu ze swego kieliszka i postawił przede mną oba szkła.

— Widzisz ten drogocenny płyn?

— No, cóż z tego?

— Przez ściany kufla przegląda mętnie, w kieliszku świeci jak łza. Nieprawdaż? A przecież i tu, i tam ciecz ta sama. Kwestia oprawy, serdeńko, kwestia ram. Ostateczny wygląd

[87] *frykas* — wyszukana, smakowita potrawa. [przypis edytorski]
[88] *umizgać się* (daw.) — zalecać się. [przypis edytorski]
[89] *sub specie aeternitatis* (łac.) — pod kątem wieczności. [przypis edytorski]
[90] *enuncjacja* — deklaracja. [przypis edytorski]
[91] *vulgo* (łac.) — pospolicie, powszechnie (zwany). [przypis edytorski]
[92] *kordialnie* — serdecznie. [przypis edytorski]
[93] *Non fa niente, ragazzo mio, non fa niente* (wł.) — Nie szkodzi, mój chłopcze, nie szkodzi. [przypis edytorski]

i wrażenie są tu wypadkową treści i formy, chociaż w obu identyczna treść się powtarza. Lecz i forma ma głos, kochasiu, i to lube ciałko, a jakże, i to biedne, posiniaczone w nocnych bitkach, pokrajane od razów, obrzękłe od trunków i łajdactwa ciało. No, rozumiesz nareszcie?

— Rozumiem.

— Chwała Bogu, *pardon*[94], demonowi życia, nie wierzę w Boga. Nie ma to jak literaci. Wszystko rozumieją, na wszystko się zgodzą z wyjątkiem grzechów przeciw sztuce. Lecz by mnie zrozumieć, trzeba trochę cierpliwości i czasu.

Pociągnął z kieliszka i mówił dalej tonem spokojnego opowiadania.

— W roku 1867, dwudziestego lutego w miasteczku N. pojawił się na świecie dziwny kaprys natury: pewnej parze małżonków urodziło się dwoje męskich bliźniąt zrosłych[95] biodrami. Po szczęśliwym przeprowadzeniu operacji jedno zapadło w dziwny stan martwoty, by po dwunastu godzinach śmiertelnego snu wrócić do stanu jawy, gdy równocześnie drugie niemowlę uległo symptomom przebytym uprzednio przez pierwsze. Władze duchowne były przy udzielaniu chrztu w niemałym kłopocie. Konsylium[96] uczonych i lekarzy zajęło się żywo fenomenalnym wypadkiem, by wreszcie orzec, że najprawdopodobniej ma się tu do czynienia z jedną jaźnią o podwójnej osobowości empirycznej. Energia psychiczna ożywiająca nasze ciała była jedną i tą samą, a stąd i pamięć wspólną; tak, siła duchowa była identyczna, lecz nie ciała: to były dwa różne ustroje fizyczne. Każdy z nas jako osobowość empiryczna przedstawia wypadkową dwóch elementów, z których jeden jest nam wspólny.

Następstwa tego kaprysu życia rzucają się w oczy przy pierwszym zestawieniu; mój organizm, pobudliwszy pod względem płciowym, wpłynął też zasadniczo na ukształtowanie charakteru, który porównany z usposobieniem profesora razi wyuzdaniem. Być może z tegoż źródła wypłynęło moje umiłowanie brudu i plugawego życia. Lecz pamięć i inteligencja są naszą wspólną własnością, zarówno co do siły napięcia i jakości.

Ja byłem już od początku człowiekiem nocy, nie znałem dnia i jego spraw. Noc i jej mrok rozpostarły nade mną od kolebki opiekuńcze swe skrzydła.

Zrozumiesz trudności wychowania. Utraciliśmy rodziców w siedemnastym roku życia. On, to jest ja pod postacią dzisiejszego profesora Czelawy, miał charakter zimny, spokojny, niemal bezpłciowy. To ułatwiło mu studia, pozwoliło na inicjatywę. Wyjechaliśmy za granicę. Słuch o nas zaginął.

On zaopiekował się mną — cha! cha! zaopiekował! Niech mu kat świeci! Wstydził się mnie, ukrywał przed światem, trzymał przed ludźmi w tajemnicy moje istnienie.

Uległem od razu z pokorą bydlęcia; i to jasne: w obu nas współdziałała przecież ta sama inteligencja, ten sam *spiritus movens*[97], ta sama pamięć. Ujarzmił me ciało. Zresztą szedłem mu na rękę po części dzięki mym wcześnie wybujałym popędom. Stałem się wkrótce karczemnym hulaką, gwałcicielem kobiet, zwyrodnialcem; mam parę egzystencji ludzkich na sumieniu, he, he, na sumieniu. Popełniłem parę zbrodni. Udało się jakoś wymknąć, zatuszować.

— Czy nie starał się uwolnić od ciebie?

— Zrazu tak; potem wpadł na piekielny pomysł, dzięki któremu stałem się mu nieodzowny. Został profesorem uniwersytetu, wielkim psychologiem i postanowił z katedry wyzyskiwać bezczelnie moje najserdeczniejsze przeżycia. Łajdak! Wygodnie się urządził, mając do dyspozycji dwa ciała. Od lat śpię jak pies w zamkniętym, nigdy nieopalanym gabinecie, by w nocy żyć z tych paru ochłapów monety, które mi łaskawie odstępuje. Sknera!

Nawet ubrać się nie mam za co. Chodzę w jego znoszonym ubraniu. Kutwa[98]!

— Jak długo zamierza przeciągnąć współbytowanie w tak bliskim sąsiedztwie? Musicie chyba znać obaj najtajniejsze drgnienia swych myśli?

---

[94]*pardon* (fr.) — przepraszam. [przypis edytorski]

[95]*zrosły* — dziś: zrośnięty. [przypis edytorski]

[96]*konsylium* — zebranie, narada. [przypis edytorski]

[97]*spiritus movens* (łac.) — siła sprawcza, główna przyczyna działania, motor; dosł. duch poruszający. [przypis edytorski]

[98]*kutwa* — skąpiec. [przypis edytorski]

— Oczywiście. Uważasz, Dzierzba, ten egoista w profesorskim birecie[99] postanowił z siebie i ze mnie, przede wszystkim ze mnie, zrobić naukowy problem, nad którym pracuje już od lat. Dzieło już na ukończeniu; lada dzień zechce mnie się pozbyć, wycisnąwszy przedtem jak cytrynę. Lecz ja go uprzedzę! — dodał z dzikim błyskiem w oczach.

Zadrżałem.

— Przecież on musi wiedzieć o twych względem niego zamiarach?

— Naturalnie, że wie.

— Dlaczego więc nie przedsiębierze środków ostrożności? Czyżby igrał z niebezpieczeństwem?

— Cha, cha! Otóż właśnie! Pan profesor przeliczył się w rachubach. Zbyt silnie ufa w dotychczasową przewagę naszego wspólnego *spiritus movens*, naszej wspólnej jaźni. I po części ma rację. Zawsze dotąd wstrzymywał mnie od samodzielnego czynu jakiś sprzeciw wewnętrzny. Lecz i organizm ma głos swój i prawa, kochany Dzierzbo, tak jest, i to spodlone, zawsze lekceważone przezeń ciało. Pijany dziś jestem i silny. Przeciągnął strunę. Ostatni eksperyment, ten zwornik[100] jego pracy, korona, która uwieńczyć ma jego dzieło, zawiódł haniebnie, rozpętując we mnie tej nocy niepohamowany już bunt; wywabił z kryjówek ciemne siły, które go zniszczą. Dlatego dziś właśnie stawiam wszystko na jedną kartę i mówię swobodnie. Chyba mnie nie wydasz?

— Bądź spokojny. Mówisz o końcowym eksperymencie, co miałeś na myśli?

— Cha, cha. Ciekawy eksperyment, jedyny w swoim rodzaju! Jego przedmiotem Wanda Czelawowa. Ten człowiek zimny jak ryba, niemal aseksualny, ożenił się z kobietą piękną, bardzo piękną i młodą. Zamęcza ją, poświęcając na ołtarzu swej wielkiej nauki.

Oczywiście wiedziałem o jej istnieniu i jak wygląda.

Podobała mi się diabelnie i zapragnąłem. Ty wiesz, co znaczy dla takiego jak ja osobnika pragnienie fizyczne kobiety, pożądanie jej? Sprzeciwiał mi się zrazu wewnętrznie, nie pozwalając nawet wchodzić do ich sypialni. Lecz żądza moja wzrastała, ta niesyta żądza, która u niego jest niemal w stanie zaniku. Wreszcie uległ i pozwolił ją widywać nocami; chciał, widzisz, i z tego ciągnąć zyski, stworzyć jeszcze jeden konflikt w naszej symbiozie i włączyć ciekawe, stąd płynące przejawy, jako ogniwo ostatnie w łańcuch swych doświadczeń, pragnął wypróbować i w tym kierunku władzę, jaką miał nade mną.

Jakoż ograniczałem się długi czas do spojrzeń. Kobieta zrazu nie wiedziała o moich nocnych wizytach, dopiero wczorajszej nocy, zauważywszy mnie, skryła się w sąsiednim salonie. Lecz nie ujdzie mi. Dziś już przypuściłem szturm do zamkniętych drzwi i dopiero gdy zaczęła krzyczeć, z obawy pobudzenia lokatorów uszedłem, by się upić i nabrać odwagi. Zbyt mnie rozdrażniła. To skończy się dla nich fatalnie. Seksus[101], mój kochany, to nieobliczalny element. Dziś jeszcze wrócę, posiądę Wandę, zabiorę pieniądze, a samego uduszę jak psa. Jeśli tego dziś nie zrobię, jutro on ze mną postąpi podobnie.

Domawiając tych słów, Stachur porwał się z krzesła i wyzywająco patrzył w dal. Był straszny. Ostre białe zęby, jak kły rozwścieczonego dzika, błyskały z wykrzywionych pasją ust, zlepione potem włosy spadły w nieładzie na czoło.

— Masz słuszność — rzekłem, siląc się na chłodny spokój. — Ja ci w tym dopomogę.

— Ty?! — spojrzał na mnie wzrokiem pełnym wdzięczności. — Dziękuję! Dzielny z ciebie chłopiec.

Uścisnął mi rękę.

— A zatem w drogę zaraz! Już późno: szósta nad ranem. Gotowi nam przeszkodzić.

Wyszliśmy.

Był jasny, słoneczny poranek. Zbudzone już miasto szemrało pogwarem wstających głosów życia. Po zaułkach tułały się wypłowiałe postacie kobiet, z austerii[102] wymykali chyłkiem nocni goście. Jakiś włóczęga ziewnął szeroko, prostując znużone ramiona, i powlókł się dalej chodnikiem. Po drodze skrzypiały pod stosem jarzyn wózki przekupniów, rozlegał się ciężki stukot miejskich furgonów.

---

[99] *biret* — kwadratowa lub okrągła czapka bez daszka będąca dziś częścią oficjalnego stroju senatu akademickiego, profesury, przedstawicieli sądownictwa, duchownych. [przypis edytorski]

[100] *zwornik* (archit.) — szczytowy, najwyższy element wiążący łuk lub sklepienie. [przypis edytorski]

[101] *seksus* (łac. *sexus*) — płeć. [przypis edytorski]

[102] *austeria* (daw.) — karczma, zajazd. [przypis edytorski]

W przestworzu snuły się zaranne dymy fabryk, przesłaniając od czasu do czasu czerwony krąg słońca nad farnym kościołem[103]. Rzeźwy dreszcz brzasku wstrząsał ciało, rozlewając w powietrzu krzepką woń ozonu.

Stachur szedł spiesznie, nerwowo, co chwila spoglądając na zegarek. Dotrzymywałem mu kroku w milczeniu. Koło siódmej wchodziliśmy do bramy. Szczęściem na schodach nie było nikogo. Stachur otworzył gabinet, przepuścił mnie do wnętrza, zamknął za sobą drzwi od korytarza i nie zatrzymując się ani na sekundę w pracowni, wprowadził mnie do sypialni.

Serce biło mi młotem i fala krwi uderzyła w głowę. W pokoju zastaliśmy w uśpieniu tylko profesora, pani Wandy nie było; widocznie zmęczona przejściami ubiegłej nocy jeszcze się nie obudziła.

Stachur, wlepiwszy drapieżny wzrok w śpiącego, wskazał mi go ruchem ręki:

— Patrz, to ten! Zdławię go jak psa!

I już ruszył ku łóżku z wyciągniętymi przed się rękoma, gdy nagle wydobyłem z kieszeni browning i równocześnie chwytając go za piersi, krzyknąłem:

— Ani kroku dalej!

Stachur szarpnął się, lecz wymierzona wprost w piersi lufa rewolweru poskromiła go.

— Ha! — syknął przez zęby. — Kto ty jesteś, podły zdrajco?!

Wymieniłem swoje właściwe nazwisko.

Na dźwięk imienia Stachur wpił we mnie badawcze spojrzenie i nagle zrozumiał.

— Łotr, podlec, pan doktor! — mruknął, pieniąc się z wściekłości. — Także eksperymentator! Tej samej nędznej sorty[104], co ten w łóżku, jego uczeń! Puść mnie, bo narobię hałasu!

— Nadaremnie grozisz: teraz i tak nie obejdzie się bez skandalu.

— Puść mnie na wszystko święte! — jęknął, zmieniając ton. — Gdy się zbudzi, zabije mnie!

— Bądź spokojny. Nie mogłem tylko dopuścić do zbrodni. Musimy czekać.

Gdy domawiałem tych słów, drzwi od salonu odemknęły się i w progu stanęła z bronią w ręku blada jak ściana pani Wanda.

— Proszę się niczego nie obawiać — uspokoiłem ją. — Jest w moim ręku. Zaczekamy do godziny ósmej.

Profesorowa usiadła we fotelu obok łóżka, z niepokojem spoglądając to na nas dwóch, to na męża, to na zegarek. Tak w milczeniu przeczekaliśmy trzy kwadranse, długie jak wieki. W miarę jak wskazówki zbliżały się do fatalnej godziny, niepokój Stachura wzmagał się, przechodząc w rozpacz. Błagał, by go puścić. Musiałem uspokajać, upewniając, że w mojej obecności nic mu się nie stanie. Lecz konfrontację wobec osoby trzeciej uważałem za konieczną do ostatecznego rozwiązania sprawy. Mimo to Stachur usiłował parokrotnie wydrzeć mi broń z ręki. Lecz nie udało mu się.

Na pięć minut przed ósmą przerażenie biedaka doszło do szczytu; wyglądał jak obłąkany. Wbite nieruchomo w tarczę zegara oczy śledziły ruch nieubłaganie posuwającego się indeksu, złączone ręce kurczowo wyginały palce. Wtem zesztywniał, białka oczu poszły w górę i bezwładem ciężaru, wymykając mi się z rąk, runął na posadzkę.

Zegar wydzwonił ósmą.

Usłyszałem ciche westchnienie ulgi z piersi pani Wandy:

— Zasnął.

Lecz w tejże chwili drgnienie życia wstrząsnęło martwym ciałem profesora i podnosząc się z łóżka, zaczął przecierać ręką czoło i oczy. Nagle, otrzeźwiawszy z resztek snu, zorientował się. Spojrzał przytomnie na nas, na leżącego jak trup na dywanie włóczęgę i w lot przypomniał sobie wszystko. Postanowienie szybkie jak błyskawica mignęło w siwych, bystrych oczach. Jednym skokiem zbliżył się do żony, podjął opuszczony przez nią na podłogę rewolwer i zanim zdołałem przeszkodzić, wypalił do Stachura. Strzał był celny: zgruchotał mu czaszkę. Śpiący nie drgnął.

[103]*fara*, *kościół farny* — miejski kościół parafialny. [przypis edytorski]

[104]*sorta* — dziś popr.: sort, rodzaj. [przypis edytorski]

Lecz profesor Czelawa chwycił się ręką za czoło, przyciskając je w miejscu, które odpowiadało ranie zabitego. Po czasie odjął rękę i patrząc na drżącą jak trzcina żonę, szepnął:

— Działanie reperkusji[105].

I wskazał ręką na czole okrągłą, czerwoną plamę, jakby od silnego uderzenia. Po chwili zwrócił się znów do żony:

— Odejdź stąd, Wandziu, widok zwłok działa na ciebie. Nie popełniłem zbrodni: miałem prawo rozporządzać wedle woli tym ciałem.

Profesorowa oddaliła się.

Wtedy Czelawa postąpił ku mnie:

— Panie doktorze! Dziękuję za pomoc i ratunek. Problemat mojego życia rozwiązany. Proszę pana na świadka w tej wyjątkowej sprawie. Musimy zaraz donieść władzom i usunąć trupa.

I popatrzył na zwłoki Stachura dziwnym, zagadkowym spojrzeniem.

Patrzyłem i ja przejęty grozą i zdumieniem. Niespodziewanie uczułem jakiś głęboki, przejmujący ból: żal mi się zrobiło tego nędzarza, tego genialnego *pauvre diable*[106] człowieka nocnych mroków i zbrodni, tragicznej igraszki życia.

I skłoniwszy się, bez słowa odszedłem.

W dwa tygodnie po zaszłym wypadku zasiadł na ławie oskarżonych przed sądem w P. profesor doktor Władysław Stanisław dwojga imion Czelawa obwiniony o zabójstwo. Po przeprowadzeniu śledztwa i przesłuchaniu świadków uwolniono podsądnego dwudziestoma trzema głosami przeciw trzem od winy i kary.

W dwa lata potem wydało londyńskie towarzystwo naukowe dzieło profesora W. S. Czelawy pod tytułem: *The Soul and the body or The history of a man with two bodies. The probleme of my life*[107]. Do tekstu dołączył autor dwie podobizny: swoją i brata Stachura.

Saturnin Sektor

Ktoś mnie wypatrzył! Ktoś wytropił! Tak żyję odosobniony, tak obcy gwarowi świata — a przecież znalazł się ktoś, co mnie śledzi z daleka. Z powodzi trwania wyłonił się fakt w bliskiej ze mną styczności, ze mną, „obłąkanym", jak orzekli ludzie roztropni, osobnikiem. Szczególne, szczególne!

W jednym z pierwszorzędnych[108] dzienników ukazał się pod datą dwudziestego lipca tak zwanego bieżącego roku (mówiąc ich trybem[109]) znamienny artykuł pod tytułem *Ewolucja czasu*. Autor podpisał się inicjałami S. S. Rozprawa pisana cięto, mocno i pewnie, jak na tych przystało, co krzepko trzymają się „życia" i w „rzeczywistości" nurzają się po szyję. Wartość jej dla mnie żadna — punkt widzenia oczywiście „realny", *z tej strony* grobu wyrosły. Panegiryk[110] dla ludzkiego intelektu i jego wytworów.

Lecz obchodzi mnie z innych względów. Artykuł jest wyraźnie skierowany przeciwko mnie, przeciwko moim przekonaniom o tak zwanym czasie. Nieznany autor pisze jakby obronę czasu, usiłując zbić moje zarzuty, które zdaje się znać doskonale. Ale skąd? W tym moment tajemniczy.

Nigdy ani słowa nie zamieniłem z nikim na temat czasu i jego nieistności[111], nie wygłosiłem ani jednego odczytu, nie wydałem najmniejszej broszury ni książki. Rozprawy mojej *O fałszywym pojmowaniu tzw. czasu i jego fikcyjności* nie czytał nikt na świecie.

---

[105] *reperkusja* (łac. *repercussio*: odbicie) — niezamierzony, uboczny, negatywny skutek jakiegoś działania a. wydarzenia. [przypis edytorski]

[106] *pauvre diable* (fr. dosł.: biedny, żałosny diabeł) — biedny człowiek, biedak. [przypis edytorski]

[107] *The Soul and the body or The history of a man with two bodies. The probleme of my life — Dusza i ciało czyli Historia człowieka o dwóch ciałach. Problemat mojego życia*. [przypis autorski]

[108] *pierwszorzędny* — tu: ważny, główny, czołowy. [przypis edytorski]

[109] *mówiąc ich trybem* — mówiąc na ich sposób, według ich zwyczaju. [przypis edytorski]

[110] *panegiryk* — utwór literacki (lub wypowiedź okolicznościowa) wysławiający coś lub kogoś. [przypis edytorski]

[111] *nieistność* — fakt nieistnienia czegoś. [przypis edytorski]

O istnieniu podobnej pracy nikt nie wie, nie może wiedzieć. Żaden z nielicznych znajomych, którzy i tak po mym powrocie z domu zdrowia usunęli się ode mnie[112] skwapliwie, nawet nie przypuszcza, że w ogóle tym problemem kiedykolwiek się zajmowałem. Owoc kilkuletnich mych rozmyślań spoczywa cicho w czarnej ceratowej teczce tu w biurku, w tajemnej skrytce na prawo, dokąd nikt się bez mej wiedzy nie dostanie. To wykluczone. A jednak ten człowiek zna na pewno treść manuskryptu, umie go na pamięć, na wylot. I usiłuje zbić mój, jak się wyraża, „pogląd" — głupiec! moją pewność. Nawet porządek myśli ten sam, nawet kontrprzykłady czerpane z tych samych dziedzin. Przeciwnik podchwytuje me zwroty, definicje, przemianowuje świeżo przeze mnie odkryte wartości i pojęcia na swój tryb, przenicowuje bezwstydnie na swą modłę wyniki żmudnych badań mojego całego życia. Dziwne to, dziwne, arcydziwne!

Więc chyba wyczuł mnie jakimś sposobem, wyczytał myśli me z oddali i odpowiedział na nie rezonansem wroga. Musi zatem istnieć między nami jakiś tajemny stosunek, jakaś więźba[113] duchowa, która umożliwia coś podobnego.

Lecz ja sobie tego wcale nie życzę. Nie lubię, by mnie kto podpatrywał choćby bezwiednie, choćby na odległość. Istnienie tego człowieka jest mi bardzo nie na rękę i *postaram się go usunąć* za wszelką cenę.

Na razie nie wiem o nim nic. Byłem już w redakcji dziennika i zapytałem wprost o nazwisko autora. Odpowiedziano mi, że go nie znają. Rękopis przysłał ktoś pocztą, ktoś mieszkający w miejscu, lecz bez podpisu — były tylko inicjały S. S. Artykuł był ciekawy, poruszał temat aktualny, traktowany naukowo, we formie[114] wzorowej, bez zarzutu. Więc wydrukowano.

Może prawda — a może kłamią — tajemnica redakcyjna. Lecz mi nie ujdzie! Odnajdę go prędzej, później — nie w zwykły, to w *mój* sposób. Mam za sobą ich pomoc: tajemną, niewidzialną dla oka „zdrowych". — Odwiedzają mnie niemal codziennie i wiodą długie poufne rozmowy. Dostęp do mnie ułatwiło im me „obłąkanie"...

Głupi ludzie „zdrowi", „normalni"! Jakże mi ich żal serdecznie! Nie znają wielkiej drugiej połowy bytu, ci żebracy poznania. Trzymają się tylko oburącz „rzeczywistości" i poza nią świata nie widzą. Ślepcy dozgonni, dopóki im „śmierć" nareszcie nie otworzy bram, co wiodą na tamtą stronę.

Należę do nielicznych wybrańców, którym wolno bezkarnie przechodzić z jednej w drugą dziedzinę. Dzięki memu „obłąkaniu" stanąłem na rubieży[115] dwóch światów. Może właśnie dlatego wydaję się innym, anormalnym, szalonym[116]. Może właśnie dlatego wyzwolony jestem z przesądów mózgu i ciemnego ich „intelektu". Twory ich są mi obce i nie obowiązują do niczego; pojęcie czasu dla mnie nie istnieje.

A jednak coś pozostało jeszcze z przywar tej strony: nie mogę zdobyć się na zatratę poczucia przestrzeni, która wciąż jeszcze przemawia do mnie głosem mocnym, rozkazującym, potrąca lekceważąco bryłowatością przedmiotów, męczy tęskniącą nudą długich bez końca gościńców. Dlatego nie jestem czystym duchem, tylko „obłąkanym człowiekiem", czymś, co wzbudza u normalnych litość, pogardę lub strach. Lecz się nie skarżę. Lepiej mi z tym niż im ze zdrowymi mózgami.

Przede mną rozwierają się krainy odległe, zamglone, ponure głębie nieznanych światów, przepaście czarowne. Nawiedzają mnie korowody zmarłych, orszaki stworów dziwnych, kapryśne jaźnie żywiołów. Wyłaniają się jedne, odchodzą drugie — lotne, piękne, groźne...

Któraś z fal trwania wyrzuciła na próg mego domu postać nową — dotąd nie wiem, „rzeczywistą" czy z tamtego brzegu.

Przychodzi wieczorem, nie wiadomo jak i skąd, staje obok mnie i wpatruje się we mnie godzinami bez słowa.

---

[112] *usunęli się ode mnie* — dziś raczej: odsunęli się ode mnie. [przypis edytorski]

[113] *więźba* — belki tworzące konstrukcję nośną, drewniany szkielet dachu. [przypis edytorski]

[114] *we formie* — dziś popr.: w formie. [przypis edytorski]

[115] *rubież* — tu: granica; pas, odcinek pograniczny. [przypis edytorski]

[116] *wydaję się innym, anormalnym, szalonym* — dziś zwykle: wydaję się inny, anormalny, szalony. [przypis edytorski]

Wygląda trochę antycznie. Twarz rzymska, ogolona, bez śladu zarostu — twarz śniada, niemal szara. Wiek nieokreślony: czasem wygląda na lat pięćdziesiąt, czasem na sto lub więcej; maska mieni się przedziwnie. Jednak czuję, że musi to być człowiek bardzo stary.

W ręce prawej trzyma kosę, w lewej klepsydrę, którą od czasu do czasu podnosi pod światło, badając położenie piasku.

Zrazu milczał uporczywie i na pytania nie dawał odpowiedzi. Dopiero po dziesiątej z rzędu wizycie dał się wciągnąć w pogawędkę. Szła z początku opornie i ciężko, bo gość znać[117] małomowny[118] i nie ma wprawy.

— Odłóż kosę — zachęciłem go na powitanie. — Tyle lat dźwigasz ją niepotrzebnie; dziś już nie sprawia należytego wrażenia, stała się martwym wspomnieniem antycznym.

Twarz gościa skrzywiła się w złośliwy grymas; z ust wyszedł po raz pierwszy głos drewniany, bez dźwięku:

— Tak sądzisz? Ja myślę inaczej. Jestem Tempus[119].

— Domyśliłem się. Witaj, Saturnie[120]! Czemu zawdzięczać mam twoje przybycie?

Gość odsłonił w uśmiechu parę bezzębnych dziąseł:

— Szukasz mnie od pewnego czasu. Więc jestem.

— Ciebie... nie ma. Jesteś urojeniem.

— Ucieleśniłem się, jak widzisz. Ludzie zbyt długo mówili o mnie, przeto przybrałem ciało. Wywabiono mnie z niebytu.

— Możliwe. Lecz ten strój? Trochę za staromodny. Trącisz myszką, mój kochany.

— Nic nie szkodzi. Zwykła sztywność zakrzepłej alegorii. Zresztą może ludzkość przyoblec mnie w nowe szaty. Czas nawet po temu najwyższy. Te łachmany już mi się sprzykrzyły. Wyglądają na anachronizm.

Tu szarpnął pogardliwie połę mocno już przetartej togi.

— A widzisz, przyjacielu, że miałem rację.

— Po części tak, o ile chodzi o strój. Lecz ty podobno nie uznajesz mego istnienia w ogóle.

— Oczywiście. Jesteś fikcją mózgu. Jeśli zajmuję się kwestią twego kostiumu, to czynię to tylko z punktu widzenia „zdrowych". Przebyłeś podobno ewolucję, hę? Tak przynajmniej czytałem.

Maska Saturna rozjaśniła się triumfującym uśmiechem:

— A! Czytałeś więc? Prawda, że pięknie napisane? Tak, tak... rozwinąłem się. Nie pojmują mnie już dzisiaj *en bloc*[121] jak starożytni. Stałem się wartością zmienną, niezależną, którą wiedza usiłuje wprowadzić we wszystkie swe dziedziny. Ściągnięto mnie do granic minuty, sekundy, zaciążyłem nad każdym momentem. Sprecyzjowałem[122] się, wysubtelniałem...

— O tak! Wychudłeś diabelnie! Do wymiarów wskazówki zegara. Zbezcześciłeś świętą tajemnicę trwania, zmąciłeś cudowną płynność fali,ty pałubo[123] życia! — krzyknąłem, zrywając się z miejsca.

Gość był już w progu.

— Jestem silniejszy od ciebie — usłyszałem głos jego miarowy, spokojny jak ruch wahadła. — Bo za mną jest rzeczywistość i zdrowa, praktyczna większość. A tej jestem niezbędny. Żegnaj! Odnajdziesz mnie w mieście w nieco zmodernizowanej postaci.

Chciałem go zatrzymać przemocą, lecz wymknął się i znikł za drzwiami...

Na niebie paliła się zachodowa[124] zorza — siedziałem sam w pustym pokoju...

Od owego wieczora Tempus już się więcej u mnie nie pojawił. Spełniwszy jakąś misję, oddalił się bezpowrotnie. Lecz słowa gościa nie dawały mi spokoju, brzmiąc w uszach natrętnym refrenem:

[117] *znać* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]
[118] *małomowny* — dziś popr.: małomówny. [przypis edytorski]
[119] *tempus* (łac.) — czas. [przypis edytorski]
[120] *Saturn* a. *Saturnus* — staroitalski bóg cyklu zmian w naturze. [przypis edytorski]
[121] *en bloc* (fr.) — w całości, ogółem, hurtem. [przypis edytorski]
[122] *sprecyzjowałem* — dziś popr.: sprecyzowałem. [przypis edytorski]
[123] *pałuba* — daw. niezgrabna kukła lub osoba taką przypominająca. [przypis edytorski]
[124] *zachodowa* (daw.) — przym. od rzecz. zachód. [przypis edytorski]

— Odnajdziesz mnie w mieście.

Co to miało znaczyć? Czyżby wyzwanie do walki? Tymczasem w gazetach pojawiały się artykuły o czasie widocznie zwrócone ostrzem wywodów przeciw mnie. Wszystkie podpisane tajemniczymi literami S. S. Rozwodziły się nad głębokością tego pojęcia, podkreślały bez końca jego użyteczność jako czynnika regulującego życie i jego sprawność. Słowem, były to peany[125] na cześć mojego gościa.

Podrażniony tymi wycieczkami, zbijałem je w domu u siebie na papierze, wzmacniając nowymi dowodami swą rozprawę i uzupełniając myśli tam zawarte. Gotowałem się do ataku ze swej strony, czekając na wyczerpanie przeciwnika, by wtedy ogłosić światu odpowiedź.

Równocześnie szukałem swego antagonisty. Całymi dniami do późnego wieczora włóczyłem się po mieście, zaglądałem do kawiarń, zawiązywałem znajomości, wyciągając ludzi na rozmowę na temat czasu. Poznałem w ten sposób kilku profesorów, kilku studiujących filozofów, z jaki tuzin przeróżnego rodzaju dziwaków i oryginałów. Lecz z dysput prowadzonych z tymi panami wychodziłem zawsze niezadowolony. Problem zdawał się wprawdzie zajmować ich w dość wysokim stopniu, lecz mimo to nie wyczuwało się tego żaru, jaki wiał ze szpalt dzienników. To nie byli przeciwnicy; żaden nie ujmował zagadnienia tak osobiście, z tak sekciarskim zapamiętaniem, jak tamten nieznany. Powoli dochodzę do przekonania, że wpadłem na fałszywy tor, że sfera, wśród której należy go szukać, leży trochę „niżej"...

Zdaje mi się, że nareszcie jestem na właściwym tropie. Od wczoraj wieczorem...

Po całodziennej wędrówce wracam do domu. Idę starą dzielnicą miasta, rozciągniętą ponad rzeką systemem wyboistych uliczek zmierzających ku wodzie. Przecinam je w poprzek, pnąc się w górę linią kolistą. Nade mną przeglądają sponad prostopadłych ścian obdartych kamienic skrawy nieba wieczornego poorane dymami kominów. Z okien wychylają się suchotnicze, blade twarze, rozczochrane głowy starych wiedźm, patrzą zakisłe oczy kaprawych starców...

Potykając się o wyboje bruku, skręcam w wąskotorową uliczkę i spoglądam w dół. Tam — daleko, u wylotu parowu krwawi się w agonii zachodu woda, błyszczy migotem fal smutny pas rzeki. Gdzieś w górze, z jakiejś rozpadającej się rudery poderwało się stado wron i zatoczywszy ciężkim lotem łuk nad uliczką, zniknęło za dachami domów. Opuszczam wzrok niżej, na poziom pierwszych pięter[126] i przeglądam znużonymi oczyma beznadziejność okien. Spojrzenie utyka na jakiejś wywieszce: na zielonym, wypłowiałym tle duże czarne litery czyjegoś nazwiska. Patrzę tępo, nie umiejąc złożyć wyrazów. Nagle ujmuję je: Saturnin Sektor, zegarmistrz.

Oczywiście! To on! Znalazłem nareszcie!

Spokój ogromny wypełnia mi duszę i powoli wracam do siebie...

Rzecz dziwna! Mieszkam jakoś niedaleko.

Zdaje się nawet, że tuż obok — tylko że zaszedłem do domu z innej niż zwykle strony, z tej, którą dotąd nigdy nie chodziłem. Po trzydziestu latach stałego pobytu w mieście! Szczególne! A jednak widocznie zdarza się czasem, że człowiek wraca do siebie przez lata całe jedną stroną, przemierza ciągle, dzień w dzień tę samą drogę, aż w pewnym momencie znalazłszy się na innym szlaku, ze zdumieniem stwierdza, że wiedzie też do jego domu — ze zdumieniem człowieka, który śnił długie, długie lata, by pewnego dnia ocknąć się na nieznanej drodze do własnego wnętrza...

Tak tedy[127] nazywa się mój przeciwnik i jest zegarmistrzem. Naturalnie, że to on, tylko on, nikt inny. Dziwię się tylko, że dotąd na to nie wpadłem. Nazwisko tak mi skądś znane, tak bliskie. Nie mogę sobie wprawdzie przypomnieć, skąd — lecz to nie wpływa w niczym na moje głębokie, niewzruszone przekonanie. Od razu zrozumiałem, że on jest mym prześladowcą, tym tajemniczym nieznajomym, którego szukam tak długo.

---

[125] *pean* — hymn, pieśń pochwalna. [przypis edytorski]

[126] *piąter* — dziś popr. forma D. l.mn.: pięter. [przypis edytorski]

[127] *tedy* (daw.) — zatem, więc. [przypis edytorski]

Samo nazwisko tak znamienne! Tyle mówi o sobie! Zanalizujmy najpierw imię. Saturnin! Czyż nie uderza wyraźny związek z Saturnem-Czasem? Czyż imię to nie narzuca od razu wizji starca z kosą i klepsydrą? Symbolizm oczywisty.

A nazwisko Sektor — czy nie zastanawiające? Dobrane znakomicie! Sektor, właściwie Sector — to niby siekący, rozdrabniający na części, cząsteczki, odcinki. Ile ukrytej autoironii w tym przezwisku! Czyż hołdując bezwzględnie dzisiejszym pojęciom o czasie, nie jest istotnie Sektorem? Wszak zniekształcił cudowność *trwania* na rzecz matematycznej abstrakcji, posiekał płynną, niepodzielną *falę życia* na bezlik martwych odcinków. Sektor — symbol lat, miesięcy, dni, godzin, minut i sekund. Zamknął w dwóch wyrazach całą swą kłamliwą, przeczącą istocie bytu działalność. Niebezpieczny człowiek — symbol! Dopóki żyje, ludzkość nie otrząśnie się z tego przesądu i nie pójdzie za mną. Dlatego należy wykreślić z pamięci żyjących to imię i zastąpić moim. Moim?!... Co za szczególna myśl! Moje nazwisko!... Moje nazwisko... Jak się właściwie nazywam? Jak się nazywam?... Nie mogę sobie przypomnieć... To śmieszne, to arcyśmieszne! To upokarzające!... Zapomniałem, zupełnie zapomniałem, jak się nazywam. Jestem bezimienny — tak — bezimienny — jak fala w łonie oceanu — wiecznie wędrowna, wiecznie się w drugą przelewająca — drugą falę — siostrzycę...

Po nocy długiej, bezsennej idę do *niego*. Wiodą mnie schody spróchniałe, miejscami szczerzące się pustką przerw, skrzypliwe. Otwieram drzwi i wchodzę.

Zaciszny stary pokój szemrze pogwarem zegarów. Jest ich wiele, bez liku: czarne z hebanu, pełzające po ścianach niby wielkie żuki, okrągłe, staroświeckie na kolumienkach z kości słoniowej, pod szklanymi dzwonami, dziwaczne barokowe z *interièurów*[128] dawnej Francji, figlarne, głośno tykające budziki. W niszy wyścielonej zieloną kitajką[129] szepczą półwieczne pacierze małe „kieszonkowe" — złote, emaliowane przecudnie „cebule" — srebrne, inkrustowane[130] „repetiery" — kosztowne, w rubin i szmaragd strojne liliputy.

W środku izby stolik z przyrządami zegarmistrza: jakieś dłutka, obcążki, stosy śrubek, cienkich jak włosień sprężyn, kółek, blaszek. Na skrawku zielonego sukna parę nadwyrężonych kopert, kilka świeżo wyjętych diamentów...

Na krzesełku pochylony nad jakimś zegarkiem siedzi *on* — mistrz czasomiarów. Poprzez pył wirujący w snopie promieni słonecznych, które wpadają skośnie przez okno, dostrzegam jego twarz. Znana mi jakoś dobrze. Gdzieś ją widziałem, gdzie — nie pomnę[131]. Może w jakim lustrze. Siwa, starcza głowa, ryże[132] faworyty[133], ostre, sępie rysy.

Podnosi na mnie oczy jasne, przenikliwe i uśmiecha się. Dziwny, dziwny uśmiech.

— Chciałbym oddać zegarek do naprawy.

— Kłamiesz, przyjacielu: zegarków nie używasz od lat dziesięciu. Po co te wykręty?

Głos jego przejmuje mnie do głębi; gdzieś go słyszałem i znam doskonale — głos mi nader bliski.

— Wiem, po co przyszedłeś. Oczekuję cię od dawna.

Teraz ja się uśmiecham.

— Jeśli tak, to sprawa bardzo uproszczona.

— Oczywiście. Zanim spełnisz, coś zamierzył, usiądź. Pogadamy. Wszak czasu mamy dość.

— Naturalnie. Nie spieszno mi.

Siadam i wsłuchuję się w rozmowę zegarów. Chodzą równo na minutę, sekundę.

— Uregulowałeś u siebie czas idealnie — rzucam uwagę na chybił trafił.

Sektor milczy, wpatrzony we mnie uporczywie.

— Więc jesteś przygotowany na wszystko? — podejmuję z trudem wątek rozmowy.

— Tak. Nie będę się bronić.

— Dlaczego? Masz do tego prawo jak każdy człowiek.

---

[128] *interièur* (fr.) — wnętrze. [przypis edytorski]

[129] *kitajka* — rodzaj materii jedwabnej, pierwotnie chińskiej, skąd nazwa (daw. *Kitaj* to Chiny), tafta. [przypis edytorski]

[130] *inkrustowany* — ozdobiony wzorami z metalu, kości słoniowej lub masy perłowej. [przypis edytorski]

[131] *pomnieć* (daw.) — pamiętać, przypominać sobie. [przypis edytorski]

[132] *ryży* — rudy. [przypis edytorski]

[133] *faworyt* — pasmo zarostu pozostawione na policzku. [przypis edytorski]

— To byłoby bezcelowym[134]. Czuję, że wkrótce i tak nadejdzie twoja era. Ustępuję przed koniecznością, jako idealny symbol zamkniętego ostatecznie okresu. Prześcigły[135] owoc późnej jesieni sam spada z drzewa.

— Więc uznajesz mnie?

— Nie. To rzecz inna. I ty kiedyś ustąpić musisz przed nowym symbolem. Nie upominajmy o względności pojęć. Wszystko wszak zależy od *układu odniesienia*.

— Właśnie. Mimo to skąd ta pewność, którą tchną twoje artykuły?

— Wynikła z głębokiego przekonania o *użyteczności* tego, co głoszę.

— Ach, prawda. Należysz do pokolenia, którego bożyszczem *rzeczywistość praktyczna*.

— Tak, tak. Ty zaś sięgasz poza nią; przynajmniej zdaje ci się tak. I wpadasz w mgliste *mare tenebrarum*[136]. Ludziom z krwi i kości to nie wystarcza, potrzebują ciała i jego wytworów.

— Mylisz się. Ja tylko pragnę *pogłębienia życia*. Życie płynie szeroką zwartą falą w zjawiskach związanych z sobą tak spoiście, że ich rozdzielanie na momenty jest śmiesznym i karykaturalnym. Twoje pojęcie czasu jest po prostu *przeniesieniem go w sferę przestrzeni*.

— Czyż nie piękny pomysł? Czytałeś słynną *Podróż w czasie*[137] znanego pisarza angielskiego?

— Owszem. Ją właśnie miałem na myśli. Jest najlepszym przykładem, do czego mogą doprowadzić fikcje mózgu ludzkiego. Sam pomysł „maszyny czasowej" czyż nie obraża dziewiczości życia pełnego ciągłych niespodzianek? Oto skutki *wiwisekcji*[138], którą na nim uprawiasz. Oto wzór, jak się mechanizuje życie.

— Bajeczna powieść. Wykwit mózgu i jego dumnej potęgi.

— Głupiś, mój kochany. Bądź spokojny: nikt nigdy *maszyną* ani w przeszłość, ani w przyszłość nie zajedzie.

— Nie zrozumiemy się nigdy. Rzecz szczególna! Mimo że jestestwa nasze tak są ze sobą dziwnie splecione.

W tej chwili niesamowity dreszcz przebiegł me ciało. Słowa zegarmistrza szły do mnie jakby z mojego wnętrza.

— Hm... istotnie. I ja to chwilami odczuwam.

— Gdyby nie to — ciągnął zgaszonym głosem starzec — że myśli twoje wyglądają na młody szczep zasadzony na moim pniu, gdyby nie to, że przeczuwam ich rozbłysk w najbliższej przyszłości...

— To co?

— Zabiłbym cię — odpowiedział zimno. — Tym oto narzędziem.

I wydobył z pluszowego puzdra cudnej roboty puginał[139] z rękojeścią z kości słoniowej.

Uśmiechnąłem się tryumfująco:

— Tymczasem role wypadną odwrotnie.

Starzec pochylił z rezygnacją głowę:

— *Bo przezwyciężyłeś mnie w sobie*... Teraz odejdź. Chcę spisać jeszcze mą ostatnią wolę. Przyjdziesz dziś wieczorem. Weź to na pamiątkę ode mnie.

I wręczył mi puginał.

Machinalnie wziąłem połyskującą chłodno stal i bez słowa pożegnania odszedłem. Na schodach doszedł mnie z wnętrza pracowni ostry, chichoczący dźwięk. Starzec śmiał się...

*

Dzienniki wieczorne miasta W. podały w dziale kroniki następującą wiadomość:

„Morderstwo czy samobójstwo?

---

[134] *To byłoby bezcelowym* — dziś raczej: To byłoby bezcelowe. [przypis edytorski]

[135] *prześcigły* (daw.) — przejrzały. [przypis edytorski]

[136] *mare tenebrarum* (łac.) — morze niejasności. [przypis edytorski]

[137] *Podróż w czasie* — tytuł pierwszego polskiego wydania powieści fantastycznej *The Time Machine* (ang.: maszyna czasowa) Herberta George'a Wellsa z 1895 r., dziś znanej jako *Wehikuł czasu*. [przypis edytorski]

[138] *wiwisekcja* — sekcja żywego organizmu. [przypis edytorski]

[139] *puginał* (daw.) — krótki mieczyk; sztylet. [przypis edytorski]

Dziś rano zaszedł w naszym mieście tajemniczy wypadek przy ul. Wodnej l. 10. Rozalia Witowska, wdowa po urzędniku prywatnym, wszedłszy koło godziny 10 nad ranem do pracowni zegarmistrza Saturnina Sektora, zastała jego zwłoki na krześle pod oknem zbroczone obficie zaschłą już krwią. W piersi nieszczęśliwego tkwił głęboko misternej roboty antyczny sztylet.

Na krzyk Witowskiej zbiegli się mieszkańcy, wkroczyła policja. Lekarz sądowy, dr Obmiński, stwierdził śmierć, która prawdopodobnie nastąpiła w nocy wskutek upływu krwi. Śladów kradzieży jakiejkolwiek nie wykryto. Natomiast obok zwłok na stole znalazł ajent[140] policyjny Tulejko testament zmarłego i ćwiartkę papieru, na której skreślił rzekomo zegarmistrz następujące słowa:

«Winowajcy nie szukać. Ginę z własnej woli».

Wypadek zdradza wiele rysów tajemniczych i niewyjaśnionych. Miasto nasze obiegają już najrozmaitsze pogłoski o zmarłym. Podobno Sektor spędził lat parę w domu obłąkanych, z którego wypuszczono go dopiero niedawno. Dr Tumin, kierownik zakładu, wezwany na świadka w zagadkowej tej sprawie, utrzymuje, że zegarmistrz cierpiał już od dłuższego czasu na periodyczne pomieszanie zmysłów, które za każdym nawrotem przybierało coraz ostrzejsze formy. Orzeczenie to popierają zeznania sąsiadów Sektora i współmieszkańców kamienicy. Uchodził powszechnie za maniaka. Mimo to w okresach tzw. *lucida intervalla*[141] oddawał się zajęciom zawodowym, spełniając funkcje zegarmistrza doskonale; koledzy uważali go nawet za jednego z najzdolniejszych pracowników.

Ciekawe światło na sprawę rzuca testament nieszczęśliwego. Sektor przeznacza całą swą pokaźną fortunę na fundusz naukowy ze specjalnym zastrzeżeniem, że korzystać zeń mogą wyłącznie badacze problemu czasu i przestrzeni oraz zagadnień z tym związanych".

Równocześnie z tajemniczym wypadkiem przy ul. Wodnej zgłoszono w policji i miejskim urzędzie parę sensacyjnych wiadomości. Oto pojawiły się na murach miasta dziwaczne plakaty i ogłoszenia we formie żałobnych klepsydr następującej treści:

„Zgon Czasu.

W nocy z 29 na 30 listopada br. zginął bezpowrotnie Tempus Saturn, by ustąpić miejsca wieczystemu Trwaniu".

Drugim nie mniej zagadkowym objawem jest fakt, że wszystkie wieżowe zegary naszego miasta z nieznanych przyczyn stanęły. Wskazówki zatrzymały się onegdaj[142] w nocy na godzinie jedenastej.

W mieście panuje ogólne wzburzenie i jakiś dziwny, zabobonny przestrach. Przerażony tłum gromadzi się na placach publicznych, odzywają się głosy wiążące dziwne objawy ze śmiercią zegarmistrza.

Dziedzina

Od lat przeszło dwunastu Wrześmian przestał pisać zupełnie. Wydawszy w roku 1900 czwarty z rzędu tom swych oryginalnych, jak obłąkanie dziwnych utworów — zamilkł i bezpowrotnie usunął się z widowni świata. Od tego czasu nie ruszył piórem, nie odezwał się choćby błahym wierszem. Nie wydrożyły go z milczenia zachęty przyjaciół, nie podnieciły uwabne[143] głosy krytyków, którzy z przydługiej pauzy wysnuwali domysły o nowym jakimś, szeroko zakrojonym dziele. Lecz oczekiwania zawiodły i Wrześmian nie przemówił już nigdy.

[140] *ajent* — agent. [przypis edytorski]

[141] *lucida intervalla* (łac.) — dosł. jasne przerwy; odcinki czasu w których choroba umysłowa lub psychiczna okresowo ustępuje. [przypis edytorski]

[142] *onegdaj* (daw.) — przedwczoraj; także: kiedyś. [przypis edytorski]

[143] *uwabny* (daw., środ.) — wabiący głosem (używane w odniesieniu do przyuczania ptaka łowczego do powrotu na głos myśliwego). [przypis edytorski]

Z wolna zaczęła się o nim ustalać opinia oczywista, jak słońce jasna i prosta: wyczerpał się przedwcześnie. — Tak, tak — pochylali smutno głowy literaccy smakosze — wypowiedział się za szybko. Nie znał ekonomii tworzenia; zbyt wiele zagadnień naraz poruszał w jednej kreacji. Raził istotnie przerostem myśli, które zgęszczone w zwarte skróty, nużyły tężyzną treści. Napój był za mocny; należało go raczej podawać w lżejszych, rozwodnionych nieco dozach. Sam sobie zaszkodził: zabrakło tematu.

Osądy dotarły do Wrześmiana, lecz nie wywołały najmniejszego skutku. Przeto uwierzono w rychłe wyjałowienie i świat przeszedł po nim do porządku. Zresztą powstały nowe talenty, zarysowały się na horyzoncie nowe sylwety i zostawiono go nareszcie w spokoju.

W rzeczywistości nawet większość zadowoloną była[144] z takiego obrotu sprawy; Wrześmian bowiem nie cieszył się zbytnią popularnością. Utwory tego dziwnego człowieka, przesiąknięte wybujałą fantazją, przepojone silnym indywidualizmem, sprawiały wrażenie niekorzystne, wywracając na nice utarte poglądy estetyczno-literackie, drażniły uczonych, przedrzeźniając niemiłosiernie ustalone pseudoprawdy. W ogóle twórczość tę uznano z czasem za wytwór wyobraźni chorej, dziwaczny płód maniaka, może nawet obłąkańca. Wrześmian był niewygodny z różnych względów i niepokoił niepotrzebnie, mącąc spokojne wody. Dlatego przyjęto przedwczesny zachód z uczuciem potajemnej ulgi: ludzie odetchnęli.

I nikt ani na chwilę nie przypuścił, że sąd mógł być z gruntu fałszywy, że przyczyną usunięcia się z areny świata niekoniecznie musiało być wyczerpanie i uwiąd. Lecz Wrześmianowi było zupełnie obojętnym, jaka legenda o nim urośnie; uważał to za sprawę czysto osobistą, prywatną i ani myślał wyprowadzać z błędu.

Bo i po cóż? Jeśli to, czego odtąd zapragnął, zrealizuje się, przyszłość wyświeci prawdę i rozsadzi stężałą skorupę, w jaką go zatopiono; jeśli zaś marzenia nie ziszczą się, to tym mniej przekona, narażając się tylko na szyderstwa i obelgi. Więc lepiej czekać i milczeć.

Bo nie brakło mu tchu i rozmachu, lecz ogarnęły go nowe pragnienia. Wrześmian chciał zdobyć silniejsze środki ekspresji, zaczął dążyć do potężniejszych realizacji twórczych. Słowo mu już nie wystarczało: szukał czegoś bardziej bezpośredniego, rozglądał się za materiałem plastyczniejszym do urzeczywistnienia pomysłów.

Sytuacja była tym zawilszą, marzenia tym mniej ziszczalne, że linia twórczości, po której kroczył, odbiegała daleko od ubitych traktów.

Sztuka

Ostatecznie bowiem większość dzieł sztuki obraca się w dziedzinie mniej lub więcej realnej, odtwarzając lub przekształcając zjawy życia. Zdarzenia, lubo zmyślone, bywają tylko jego analogią, spotęgowaną wprawdzie przez egzaltację lub patos, więc możliwą w jakimś momencie czasu; podobne obrazy mogły już kiedyś zajść w rzeczywistości, mogą się kiedyś pojawić w przyszłości; nic nie przeszkadza wierze w ich możliwość — rozum nie podnosi buntu przeciw przystępnym zmyśleniom. Nawet twory przeważnej liczby fantastów nie wykluczają przypuszczalnej realizacji, o ile w ogóle nie wygląda z nich chęć igraszki lub niedbały uśmiech zręcznego żonglera.

Lecz u Wrześmiana przedstawiała się sprawa trochę inaczej. Cała jego dziwaczna, zagadkowa twórczość była jedną wielką fikcją. Na próżno wysilała się zgraja szczwanych jak lisy krytyków w dociekaniu tak zwanych „wpływów literackich", „analogii", „prądów zagranicy", które by choć w przybliżeniu użyczały klucza do niedostępnego zamku poezji Wrześmianowej — na próżno uciekali się sprytni recenzenci do pomocy uczonych znawców psychiatrii, przerzucali stosy przeróżnych dzieł, nurtowali[145] po encyklopediach: utwory Wrześmiana wychodziły zwycięsko z powodzi interpretacji, bardziej jeszcze tajemnicze niż przedtem, oszałamiające, groźne, niedocieczone. Wiał z nich jakiś ponury urok, nęciła zawrotna, dreszczem ścinająca głębia.

Mimo swej bezwzględnej, absolutnej fikcyjności, nie przecinającej się choćby w jednym punkcie z życiem rzeczywistym, Wrześmian wstrząsał, zastanawiał, zdumiewał: ludzie nie śmieli przejść obok z lekceważącym wzruszeniem ramion. Coś tkwiło w tych utworach krótkich i zwartych jak pocisk, coś przykuwało uwagę, pętało dusze; jakaś po-

[144] *zadowoloną była* — dziś zwykle: zadowolona była. [przypis edytorski]
[145] *nurtować* (daw.) — nurkować, dawać nurka. [przypis edytorski]

tężna sugestia wywiązywała się z tych ciętych skrótów, pisanych stylem pozornie chłodnym, niby sprawozdawczym, niby naukowym, pod którym tętnił żar zapamiętalca[146].

Bo Wrześmian wierzył w to, co pisze; bo posiadł z biegiem lat niezachwiane przekonanie, że wszelka choćby najzuchwalsza myśl, że wszelka choćby najszaleńsza fikcja ziścić się może, że kiedyś doczeka się spełnień w przestrzeni i czasie.

— Człowiek niczego nie myśli na marne. Żadna myśl, nawet najdziwaczniejsza, nie ginie bezpłodnie — powtarzał niejednokrotnie w gronie przyjaciół i znajomych.

I zdaje się, właśnie ta wiara w ziszczalność fikcji rozlewała utajony żar po arteriach jego tworów, że mimo pozornej oschłości przejmowały do głębi...

Słowo, Twórczość

Lecz on nie był z siebie nigdy zadowolony; jak każdy szczery twórca szukał ciągle nowych środków wypowiedzenia się, coraz to dobitniejszych znaków, które by oddały myśl jego możliwie najwierniej. W końcu porzucił słowo, wzgardził mową jako zbyt łomką[147] formą ekspresji i zaczął tęsknić do czegoś bezpośredniejszego, co by plastyką i dotykalnością prześcignęło wszystkie dotychczasowe zakusy.

Nie miało być nim milczenie, „odpoczynek słowa" symbolistów — to było dlań za blade, za mgławicowe i — za mało szczere. Chciał innej realizacji.

Jaką być mogła — nie wiedział dokładnie — lecz w możliwość jej wierzył niewzruszenie. Parę faktów zaszłych przed laty, gdy jeszcze pisał i ogłaszał — umocniło tę wiarę; przekonał się bowiem już wtedy, że mimo swego urojonego charakteru kreacje jego posiadają szczególną siłę wpływania na świat i ludzi. Szalone pomysły Wrześmiana wypadłszy z rozżarzonej miazgi twórczej, zdawały się mieć moc zapładniającą, wytwarzając nowe, nieznane dotychczas wiry, jakieś obłąkane monady[148] myślowe, których przejawy rozbłyskiwały niespodzianie w czynach i gestach pewnych osobników, w przebiegu pewnych zdarzeń.

Lecz i to mu nie wystarczało. Pragnął spełnień całkiem niezależnych od praw rzeczywistości, tak swobodnych, jak ich źródło: fikcja, jak ich zaczyn: urojenie. Byłoby to ideałem — najwyższą realizacją bez reszty, wypowiedzeniem się pełnym, bez cienia niedoborów...

Lecz Wrześmian rozumiał, że taka realizacja mogła stać się dla niego samego zagładą. Bezwzględne spełnienie byłoby też absolutnym wyżyciem się, więc śmiercią z wytężenia, nadmiaru...

Bo ideał — wszak wiadomo — jest w śmierci; dzieło przytłacza twórcę swym ciężarem; myśli zrealizowane w pełni mogą stać się groźne i mściwe; zwłaszcza myśli obłąkane. Pozostawione sobie, bez punktu oparcia o rzeczywiste podłoże, mogą być niebezpieczne dla tego, który je stworzył.

Wrześmian przeczuwał podobną ewentualność, lecz się nie wahał, nie uląkł. Pragnienie było mocne nade wszystko...

Tymczasem lata mijały cicho, nie przynosząc wymarzonych ziszczeń. Wrześmian usunął się zupełnie z widoku ludzi i zamieszkał samotnie u wylotu miasta, w ustronnej, wychodzącej na pola i ugory, podmiejskiej ulicy. Tu zamknięty w swych dwóch pokoikach, odcięty od towarzystwa, spędzał miesiące i lata na lekturze i kontemplacji. Z wolna ograniczał się do coraz to ciaśniejszych kręgów życia rzeczywistego, któremu nie poświęcał najmniejszej uwagi, płacąc tylko minimalny, nieunikniony haracz. Poza tym cały tkwił w sobie, w swych marzeniach i w tęsknocie za ich spełnieniem. Idee, niezrzutowywane jak przedtem na papier, nabierały mocy i soków, pęczniały niewypowiedzianą treścią. Czasem zdawało mu się, że myśli nie abstrakcjami, lecz czymś materialnym, niemal zgęszczonym, że wystarczyło ręką sięgnąć, by ująć, by pochwycić. Lecz złudzenie prędko rozwiewało się, by ustąpić miejsca gorzkiemu rozczarowaniu.

Przecież nie tracił otuchy. By nie rozpraszać się zbytnio widokami świata zewnętrznego, zacieśnił zakres codziennych postrzegań do nielicznej liczby obrazów, które widziane ciągle bez zmiany dzień w dzień, przez lata całe, powoli weszły w zwarte kolisko idei, stały się współmiernym im terenem, zlewając się ze światem marzeń w jedną swoistą dziedzinę.

---

[146] *zapamiętalec* (daw.) — człowiek zapamiętały, pełen pasji. [przypis edytorski]

[147] *łomki* — łamliwy, mało wytrzymały. [przypis edytorski]

[148] *monada* (gr.) — podstawowa substancja duchowa, z definicji niezależna od wpływów otaczającej rzeczywistości (pojęcie z filozofii G. W. Leibnitza). [przypis edytorski]

Tak nieznacznie wytworzyło się nieuchwytne jakieś środowisko, jakaś tajemnicza oaza, do której nikt nie miał przystępu oprócz Wrześmiana — króla niewidzialnego ostrowu[149]. Owo *milieu*[150] nasiąkłe jaźnią marzyciela, przepojone nim po brzegi, przedstawiało się niewtajemniczonym jako zwykle miejsce w przestrzeni; ludzie mogli dostrzegać tylko jego stronę zewnętrzną, jego istnienie fizyczne — drgającego wewnątrz rozczynu[151] myśli, subtelnego związku, jaki łączył je z osobą Wrześmiana, przeczuć nie zdołali...

Dziwnym trafem przestrzenią objętą przez myśl fantasty, owym miejscem, które przetworzył w dziedzinę swych rojeń, nie było jego mieszkanie; oaza fikcji wznosiła się naprzeciw jego okien, po drugiej stronie ulicy, we formie jednopiętrowej willi.

Ponura wytworność domu przykuła go do siebie od razu po zajęciu nowego mieszkania. U końca czarnego szpaleru[152] cyprysów, obejmujących podwójnym rzędem kamienny chodnik, widniał kilkustopniowy taras, z którego wiodły do wnętrza ciężkie stylowe podwoje. Poprzez żelazne sztachety, okalające zewsząd pałacyk, bielały po obu stronach cyprysowej alei skrzydła domu. Pociągnięte bladozieloną farbą wyglądały z głębi schorzałe, smutne lica ścian. Zdradziecko utajona spodem w ogrodzie wilgoć wypełzła tu i ówdzie ciemnym wysiąkiem[153]. Niegdyś starannie pielęgnowane rabaty kwiatów, chimerycznie zawinięte klomby z czasem zatraciły wyrazistość linii. Tylko fontanny dwie wieczyste ławiły cicho, roniąc wodę z marmurowych mis na pęcze[154] róż bogatych, czerwonych. Tylko muskularny tryton[155] po lewej stronie wciąż wyciągał tym samym gestem rękę na powitanie ku gibkiej dziwożonie[156], co wychylona z marmurowej cysterny po tamtej stronie, wabiła go od lat przynętą boskiego ciała; na próżno — bo rozdzieliły ich żałobne cyprysy...

Całość sprawiała wrażenie ponurej samotni, opuszczonej od dłuższego czasu przez ludzi, izolowanej od sąsiednich budynków. Willa zamykała ulicę; poza nią nie było już ani jednego domu; kładły się tylko szerokimi pasmami łęgi[157], płożyły pola, ugory, z dala czerniały zimą, rdzewiały jesienią bukowe lasy...

W seledynowej willi nie mieszkał nikt od szeregu lat. Właściciel, jakiś majętny arystokrata, wyjechał od dawna za granicę, pozostawiając dom bez opieki.

Więc stał zaniedbany w pośrodku wybujałego ogrodu, trawiony niszczycielską pracą deszczu, kruszony zjadliwością wiatrów i zimowych zamieci.

Posępny urok, jaki wiał od tego zacisza, dziwnie pociągał duszę Wrześmiana. Willa była dlań plastycznym symbolem nastroju, którym tchnęła jego twórczość — wpatrzony w nią, czuł się jakby u siebie.

Toteż całe godziny spędzał przy oknie i oparty o ramę, zapuszczał zamyślone spojrzenie w stronę smutnego domu. Zwłaszcza w noce miesięczne[158] lubiał[159] obserwować bajeczne efekty wywoływane we fantastycznej[160] ustroni przez światło księżyca. Już to noc zdała się być właściwym jej żywiołem. Za dnia willa jakby drętwiała w martwym uśpieniu; cały czar ukryty w jej tajemniczym wnętrzu występował w pełni dopiero po zachodzie słońca. Wtedy dom ożywiał się; jakieś nieuchwytne drgnienie przebiegało dreszczem senną pustelnię, wstrząsało stężałe w żałobie cyprysy, marszczyło falistą linią zwietrzałe przyczółki i fryzy[161]...

Wrześmian patrzył i żył życiem domu. Budziły się myśli wyraźne, harmonijnie zestrojone ze scenerią naprzeciw, rodziły patetyczne tragedie, silne jak śmierć, groźne jak

---

[149] *ostrów* a. *ostrowa* — wyspa. [przypis edytorski]

[150] *milieu* (fr.) — środowisko, otoczenie. [przypis edytorski]

[151] *rozczyn* — rozrobiona wodą mała porcja zakwaszonej mąki a. rozdrobnione drożdże dodawane do ciasta. [przypis edytorski]

[152] *szpaler* — rząd drzew lub krzewów, odpowiednio ciętych, tworzących aleję ogrodową. [przypis edytorski]

[153] *wysiąk* — dziś popr.: wysięk. [przypis edytorski]

[154] *pęcz* (daw.) — pąki pokrywające krzew lub drzewo. [przypis edytorski]

[155] *tryton* — w mit. greckiej bóstwo morskie o ludzkim tułowiu i rybim ogonie. [przypis edytorski]

[156] *dziwożona* — demon słowiański o postaci szkaradnej kobiety, podmieniający dzieci na własne, brzydkie lub kalekie. Tu błędnie jako synonim nimfy. [przypis edytorski]

[157] *łęg* — podmokła łąka. [przypis edytorski]

[158] *noc miesięczna* — noc pełni księżyca (daw., poet. *miesiąc*: księżyc). [przypis edytorski]

[159] *lubiał* — dziś popr.: lubił. [przypis edytorski]

[160] *we fantastycznej* — dziś: w fantastycznej. [przypis edytorski]

[161] *fryz* — dekoracyjny pas pod gzymsem budynku. [przypis edytorski]

przeznaczenie — to znów mżały[162] jakieś pomysły niejasne, przyćmione jakby patyną księżycowego posrebrza.

Każdy zakątek stał się zmysłowym odpowiednikiem fikcji, bryłowatą realizacją myśli, które czepiały się gzemsów[163], wędrowały po samotnych, pustych salach, łkały na stopniach terasy[164]. Rozchybotane szale śnień, mgławice rojeń tułały się dżdżystą rozchwieją, błąkały wzdłuż ścian, niepewne ostoi. Lecz i te znalazły przystań. Podrażniona kapryśnością ich ruchów wyobraźnia odtrącała je precz z pogardą, że wylękłe ściekały mętną strugą w dużą omszałą kadź u węgła[165] domu i sączyły się w jej czarny kadłub senne, nudne, jak woda deszczowa w późną jesienną szarugę. Nikłe, rdzawe myśli niedokwasy...

Wrześmian upajał się ponurą igraszką fantazji, nadając jej tworom bieg dowolny; wedle upodobania zmieniał ich kierunek, spędzał z widowni, za chwilę znów wyczarowywał nowe ich zastępy...

Nie przeszkadzał nikt. Odludną ulicą w odległej dzielnicy miasta nie przechodził żaden niewczesny natręt, nie przerywał nastroju hałaśliwy wóz.

Tak przeżył ostatnich lat kilka niezamąconych niczym zewnątrz, pełnych grozy i dziwów od wnętrza.

Aż nagle pewnego dnia zaszły w domu naprzeciw jakieś zmiany i wydrożyły gwałtownie z zapamiętania, które już zaczęło przybierać ustalone nawykiem i wprawą formy.

Było w pogodny, lipcowy wieczór. Siedząc jak zwykle przy otwartym oknie ze wspartą na ręce głową, wodził Wrześmian zamyślonym spojrzeniem po willi i ogrodzie. Wtem spojrzawszy w jedno z okien na skrzydle, zadrżał. Przez szybę patrzyła nań uparcie blada twarz mężczyzny. Wzrok nieznajomego utkwiony weń nieporuszenie był groźny. Ogarnął go nieokreślony lęk. Przetarł oczy, przeszedł się parę razy po pokoju i znów spojrzał w okno: surowa twarz nie znikła, wciąż wpatrzona w jego stronę.

— Czyżby już wrócił właściciel willi? — rzucił półgłosem słabe przypuszczenie.

Ponura maska w odpowiedzi skrzywiła się w dziko-ironicznym uśmiechu. Wrześmian zapuścił storę[166] i oświetlił mieszkanie: nie mógł dłużej wytrzymać wzroku.

Dla zatarcia wrażenia zatopił się w lekturze aż do północy. Koło dwunastej dźwignął się znużony od książki i wiedziony przemożną pokusą, uchylił brzegu zasłony, by wyjrzeć przez okno. I znów dreszcz trwogi przejął go do kości: blady mężczyzna stał wciąż bez ruchu tam, za szybą na prawym skrzydle i oświetlony jasno magnezjowym[167] lśnieniem księżyca obezwładniał go wzrokiem. Zaniepokojony, zapuścił Wrześmian z powrotem roletę i usiłował zasnąć.

Lecz na próżno; przejęta lękiem wyobraźnia nie dawała mu spokoju, dręcząc nieznośnie. Dopiero nad ranem zapadł w krótki nerwowy sen pełen zmor i wizji. Gdy nazajutrz koło południa obudził się z zawrotem głowy, pierwszą myślą było spojrzeć w okna willi. Odetchnął: uparta twarz znikła.

Przez cały dzień był spokój. Lecz nad wieczorem ujrzał za szybą na pierwszym piętrze wlepioną w siebie maskę jakiejś kobiety, rozwiane włosy okalały twarz przekwitłą już, ze śladami wielkiej niegdyś piękności, twarz obłąkaną, z parą błędnych, zawziętych oczu. I ona patrzyła nań poprzez szaleństwo źrenic surowym wzrokiem towarzysza ze skrzydła prawego. Oboje zdawali się nic nie wiedzieć o swej współbytności w dziwnym domu. Łączył ich tylko gest groźby zwrócony ku Wrześmianowi...

I znów po bezsennej nocy, przerywanej wypatrywaniem prześladowców, nastał dzień wolny od maszkar. Lecz kiedy już mrok wchodził w tajne zmowy z nocą, wykwitła w trzecim z rzędu oknie nowa postać, by nie ustąpić aż do rana. Tak w przeciągu paru dni zapełniły się wszystkie okna willi złowieszczymi twarzami. Spoza każdej szyby wyglądały jakieś oczy rozpaczne[168], czyjeś owale przeorane bólem lub obłędem. Dom patrzał nań oczyma maniaków, grymasem szaleńców, szczerzył się ku niemu śmiechem opętanych. Nikogo z tych ludzi nigdy dotąd w życiu swoim nie widział, a jednak wszyscy byli mu jakby

[162] *mżeć* (daw.) — śnić (por.: mżonki). [przypis edytorski]
[163] *gzems* — dziś popr.: gzyms. [przypis edytorski]
[164] *terasa* — tu daw.: taras. [przypis edytorski]
[165] *węgieł* — narożnik. [przypis edytorski]
[166] *stora* — ciężka zasłona. [przypis edytorski]
[167] *magnezjowy* (o świetle) — jasny i blady, podobnie jak światło palącego się magnezu. [przypis edytorski]
[168] *rozpaczny* (daw.) — rozpaczliwy. [przypis edytorski]

skądś znani. Lecz skąd, nie wiedział. Każdy z nich miał wyraz odmienny, lecz wszystkich jednoczył ruch groźby w jego stronę; widocznie uważano go tam za wspólnego wroga. Przerażała ta ich nienawiść i przyciągała zarazem w magnetyczny sposób. I rzecz dziwna: w najgłębszych pokładach duszy rozumiał gniew ich i przyznawał mu słuszność.

A oni, jakby odgadując go z oddali, nabierali pewności wyrazu i maski ich stawały się z dniem każdym bezwzględniejsze.

Aż nocy jednej sierpniowej, gdy wychylony przez okno wytrzymywał krzyżujące się na nim spojrzenia nienawistnych oczu, nagle nieruchome twarze ożywiły się; we wszystkich błysnęła naraz ta sama wola. Setki chudych jak piszczele rąk podniosły się w górę ruchem rozkazującym i kilkadziesiąt bladych dłoni wykonało zgięciem palców gest znamienny...

Wrześmian zrozumiał: wzywano go do wnętrza. Jak zahipnotyzowany przeskoczył parapet okna, przeszedł wąski pas ulicy i przesadziwszy sztachety, począł iść aleją ku willi...

Była czwarta nad ranem, pora przeddreszczy świtowych. Magnezjowe bluzgi księżyca pławiły w srebrnej topieli dom, wywabiały z załomów długie cienie. Droga była jasna, oślepiająco biała wśród żałobnych ścian krzewów. Głucho, wyraźnie tętniły kroki na kamiennych płytach; cicho szemrały fontanny, tajemniczo dżdżyły wodne łuki... Wstąpił na taras i silnie szarpnął klamkę: drzwi ustąpiły. Szedł długim kurytarzem[169] w dwa rzędy kolumn korynckich pod ścianami. Nocny półmrok rozświecała gloria[170] księżyca, która wlewając się przez witraż u końca krużganka, snuła zielone baśnie na porfirze[171] posadzki...

Nagle w przechodzie[172] wysunęła się spoza trzonu kolumny jakaś postać i poszła za nim. Dreszcz go zdjął, lecz milcząc szedł naprzód. O parę kroków dalej oderwał się od wnęki między słupami kształt nowy, za nim trzeci, dziesiąty — wszystkie szły za nim. Chciał zawrócić, lecz zastąpiły mu drogę. Więc przeszedł las kolumn i zboczył w jakąś okrągłą salę na prawo. Tu było jasno od lśnień księżycowych i pełno jakichś ludzi. Przemykał się między nimi, szukając wyjścia. Na próżno! Otaczali go coraz zwartszym, natrętniejszym koliskiem. Z bladych, bezkrwistych ust wypłynął groźny poszept:

— To on! To on!

Zatrzymał się i spojrzał wyzywająco w tłum:

— Czego chcecie ode mnie?

— Twej krwi! Krwi twojej chcemy! Krwi! Krwi!

— I cóż wam po niej?

— Chcemy żyć! Chcemy żyć! Po cóżeś nas wywołał z chaosu niebytu i skazał na nędzę półcielesnej włóczęgi? Patrz, jacyśmy bezsilni i bladzi!

— Litości! — jęknął, rozpaczliwie rzucając się na kręte schody w bok sali.

— Trzymać go! Otoczyć! Otoczyć!

Pędem szaleńca wdarł się po stopniach na piętro i wpadł w jakąś średniowieczną komnatę. Lecz prześladowcy wtargnęli tuż za nim. Wiotkie ich ramiona, fluidyczne[173], wilgne[174] jak mgła ręce zwarły się w makabryczny korowód bez wyjścia.

— Cóżem wam uczynił?

— Chcemy pełni życia! Przykułeś nas, nędzniku, do tego domu! Chcemy wyjść stąd na świat, wyzwolić się od miejsca i żyć na swobodzie! Krew twoja nas wzmocni, krew twoja sił nam doda! Udusić go! Udusić!

I wyciągnęli ku niemu tysiące głodnych ust, tysiące bladych ssawek...

Obłędnym odruchem miotnął się ku oknu, by wyskoczyć. Legion oślizgłych, zimnych rąk chwycił go wpół, wbił zakrzywione haki palców we włosy, owinął szyję... Targnął się raz i drugi. Czyjeś paznokcie wżarły mu się w krtań, czyjeś wargi przyczepiły do skroni...

[169] *kurytarz* — dziś popr.: korytarz. [przypis edytorski]

[170] *gloria* — krąg rozproszonego światła otaczający postać świętego lub bóstwa na obrazie; tu: wielobarwna poświata wokół księżyca. [przypis edytorski]

[171] *porfir* — rodzaj twardej skały wulkanicznej. [przypis edytorski]

[172] *przechod* (daw.) — przejście. [przypis edytorski]

[173] *fluid* (z łac. *fluidus*: płynny) — wg spirytystów substancja emanująca z ludzi i duchów. [przypis edytorski]

[174] *wilgny* — dziś popr.: wilgotny. [przypis edytorski]

Zachwiał się, oparł plecyma[175] o framugę, przeważył się wstecz... Kurczowo wyciągnięte ramiona rozłożyły się ruchem ofiary, na zbielałe wargi wypełznął znużony uśmiech spełnień — już nie żył...

A w chwili gdy wewnątrz stygło w podrzutach agonii ciało Wrześmiana, przerwał ciszę przedświtową głuchy pluskot. Szedł od kadzi u węgła domu. Powierzchnia spleśniałej od zielonych kożuchów wody zakotłowała — w głębinach zbutwiałej, w rdzawe obręcze ujętej beczki dźwignęły się jakieś wiry, zafalowały męty, zabulgotały ustoiny[176]. Wybiegło parę dużych, wzdętych bąbli i wychylił się niekształtny kikut ręki; jakiś niby tułów, niby kadłub — wynurzył się z toni ociekający wodą, okryty pleśnią i trupieszą stęchlizny twór — niby człowiek, niby zwierz, niby roślina. Potworek błysnął ku niebu zdumioną twarzą, roztworzył w nieokreślonym głupowato-zagadkowym uśmiechu gąbczaste wargi, wydobył z kadzi pokręcone jak krzak koralu nogi i otrząsnąwszy się z wody, zaczął iść krokiem chwiejnym, rozkołysanym...

A był już świt na dworze i fioletowe jaśnie[177] ślizgały się po bezbrzeżnych obszarach świata.

Dziwotwór szedł ku tym modrzejącym na horyzoncie dalom; uchylił furtkę od ogrodu poza domem, przesunął się kabłąkiem po ścieżynie i oblany ametystowymi[178] strugami brzasku wtoczył się na drzemiące mraką[179] świtu łąki i pola. Z wolna postać jego malała, rozwadniała się, gasła... aż rozpłynął się, rozwiał w blaskach zarania...

[175] *plecyma* — dziś popr.: plecami. [przypis edytorski]
[176] *ustoina* — osad. [przypis edytorski]
[177] *jaśń* — jasność, blask. [przypis edytorski]
[178] *ametystowy* — o barwie ametystu, fioletowy. [przypis edytorski]
[179] *mraka* (reg. daw.) — mgła, szaruga. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-szalony-patnik

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, Utwory wybrane, Tom I: Nowele, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r.".

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Katarzyna Dug, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0251-3

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.